Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

DZIK.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

przez

Władysława Spaustę.

(Ciąg dalszy.)

Stare odyńce, leżąc w gęstych zaroślach, nie dają się częstokroć w żaden sposób wyruszyć i tylko przed psami dostać je można.

W charakterze dzika, obok wielkiej ostrożności, nie leży bynajmniej płochliwość, to też często na polowaniach, osobliwie na ślepem polu, zdarza się, iż dzik wyjdzie po licznych strzałach do innej zwierzyny przed samą nagonką. Są to zwykle pojedyńcze sztuki, o jakich już wspominałem, które w najlepsze podczas strzelaniny niedaleko od linii strzelców spoczywają i nie wiedzą nic o zbliżającej się obławie. Naciśnięte dopiero z wszystkich stron, wychodzą czasem na myśliwych i zastają zwykle tychże nieprzygotowanych.

Strzałami przywitane dziki uchodzą nawet w bardzo dalekie strony. Dlatego też w kniejach, w których dzik jest zwierzem przechodnim, po pierwszych strzałach nie ma za niemi już co szukać, bo z pewnością wyniosły się daleko po za granice lasu. W kniejach, gdzie dziki są zwierzem gniazdowym, wracają zwykle w ulubione miejsca.

Wyjątkowo tylko, gdy miękki śnieg okrywa ziemię, da się dzik zjechać lub zejść, jeżeli myśliwy pod wiatr się doń zbliża. Łatwiej zejść się daje przez bezbronnych wieśniaków, z któremi zna się bardzo dobrze i często widuje, gdy ci w swych rozmaitych interesach knieję odwiedzają. Okoliczność ta wskazuje również, iż dzik nie jest płochym i że umie oceniać istotne niebezpieczeństwo.

Przyroda łączy zwykle siłę i odwagę z pewnym rodzajem łagodności, a jakkolwiek znajdują się i tutaj wyjątki, to jednak własności wspomniane są najdokładniej skojarzone w rodzinie gruboskórców. Zwierzęta te może za wiele ufają swej sile i odwadze i dlatego objawiają swój gniew w sposób graniczący z szaleństwem. W normalnych wszakże warunkach są nadzwyczaj łagodne i dobroduszne. Niema wypadku, aby największy odyniec zaczepił jakiekolwiek

stworzenie, a tem mniej człowieka. Unika go zawsze, bo nie dowierza panu ziemi. Ustępuje w ogóle wszystkiemu z drogi, dopóki może, lecz zaczepiony i rozjątrzony, staje się strasznym, do szaleństwa odważnym i umie bardzo drogo swe życie sprzedać. Rycerski ten zwierz krwawo też swe imie zaznaczył w kronikach myśliwskich, a tradycya łowiecka najlepiej maluje tę grozę w przysłowiu: „Idziesz na niedźwiedzia, to gotuj łóżko, idziesz na dzika, to gotuj mary.“

Najniebezpieczniejszym jest wycinek lub odyniec, gdy ostre jeszcze szable posiada, chociaż i samura lub maciora może być bardzo niebezpieczną. Z pędem strzały umie dzik ugodzić w miejsce najprzystępniejsze dla jego szabel, tnie w brzuch, rozpruwa i wypuszcza jelita. Do ciężkiego skaleczenia wystarcza i sam gwizd. Znane są wypadki, w których dzik używał i nóg do pokonania wroga; wyłazi on w takim razie na swą ofiarę, morduje gwizdem i depce nogami. Szczególniej słabszemi szablami opatrzone samury wykonują tę praktykę. Właściwość tę okazują i słonie.

Ratować tu może myśliwego li tylko wielka przytomność umysłu. Kto ją postradał, tego nie minie cios straszliwy. To pewna, że dzik, mając złe zamiary, fiksuje wzrokiem przedmiot, na który uderzyć zamierza, i już samo usunięcie się ratuje czasem od ciosu. Najpraktyczniejszym jednak środkiem pozostaje zawsze wzniesienie się bodaj o metr po nad ziemię, do czego sposobność prawie zawsze się nadarza, byle tylko zimną krew zachować.

Kto widział kiedykolwiek atakującego dzika, tego bynajmniej nie zdziwi, że nawet rutynowani i odważni myśliwi, po wyczerpaniu się innych środków obrony i ratunku, uciekają się do tego na pozór bardzo nierycerskiego sposobu obrony.

Nieznane mi są zupełnie wypadki, w którychby dzik chybiony rzucał się na człowieka; zawsze po strzale chybionym pomyka dalej w prostym kierunku, nie zatrzymując się wcale. Również nieczęste są wypadki, aby postrzelony dzik natychmiast szarżował; zdarza się to jednak a wtenczas, jak mówią myśliwi, „na dym idzie.“ Przekonałem się wszakże, iż taki pochód na dym nie zawsze atakiem nazwać można. Zwykle idzie na dym dzik strzelany na sztych, ale dzik tak strzelany idzie także na dym i wtedy, gdy jest chybiony Pochodzi to z opisanego już sposobu patrzenia dzika i niechęci zwracania się z raz obranego kierunku.

Widziałem na własne oczy, jak na sztych strzelany dzik a chybiony, potrącił swym ciałem bardzo jeszcze niedoświadczonego młodzieńca, nie wyrządziwszy mu żadnej zresztą krzywdy.

Postrzelony, a dalej prześladowany dzik starszy, jest prawie zawsze niebezpiecznym, bo rzuca się na człowieka, gdy go ostateczność do takiej obrony zmusza. W dowód, że tak jest, mogę skreślić kilka epizodów z własnego doświadczenia.

W r. 1884. d. 5. stycznia objeżdżałem w towarzystwie pp. J. M. i D. H. las w Kołodrubach w celu objechania dzików. Zaraz po wjeździe do lasu — a był to 20-letni zapust świerkowy — spostrzegliśmy nowy poszlak dzika wielkiego — skąpo sposoczony. Objechaliśmy go zaraz w następnym miocie, i posłali jednego człowieka za poszlakiem, obstawiwszy zwykłe przesmyki. Po godzinnem szukaniu bez żadnego skutku, wyszedł chłop z miotu i twierdził, że tego dzika w żaden sposób wygnać nie można, bo chodzi okółkiem myląc poszlak. Chcąc koniecznie memu gościowi zrobić przyjemność, poszedłem sam w zapust, lecz zaraz poznałem, że próżną będzie moja praca, i że bez psów nic dzikowi nie będziemy mogli zrobić. Posłałem zatem po dwa kundysy do pobliskiego folwarku i zaraz pole założyłem. Psy ruszyły odyńca, który jednak bez strzału wymknął się. Psy zaraz odwołano, a my na sankach staraliśmy się dzikowi drogę zabiegnąć. O 4 kilometrów mniej więcej rozstawiliśmy się na zwykłym przesmyku. Tutaj, po kilkuminutowem czekaniu, usłyszałem dwa strzały, a potem przeraźliwy krzyk p. D. H. Co sił biegłem na głos i zobaczyłem p. D. H. spiętego na drzewie dość grubem, ledwo na metr ponad ziemią. Na widokręgu pomykał odyniec w kierunku ku Horożanie przez rzadką dębinę. Obrazek ten wyświecił mi w części, co się tu stać mogło. Dzik po dwóch chybionych strzałach (przedtem jednak postrzelony, jak to na początku opowiadania wspomniałem), poszedł na dym, a pan D. H. owemu dębowi zawdzięczał życie i do dziś wspomina ową piękną wilię do Trzech króli.

Ten sam dzik, strzelany jeszcze kilka razy w lesie Horożańskim, sadził po każdym strzale na myśliwych, aż wreszcie pokiereszowany okropnie wyniósł się do lasu Podwysockiego. Dla salwowania honoru myśliwskiego dodaję. iż we dwa tygodnie później ubiłem go w tem samem miejscu, zkąd go 5. stycznia wyruszyliśmy. Tożsamość łatwo było rozpoznać za pomocą poszlaku charakterystycznego w skutek postrzału w prawą tylną nogę. Postrzał ten pierwotny, nie wiedzieć od kogo, zadany był śrótem.

Drugi wypadek, potwierdzający wypowiedzenie moje, zdarzył mi się w r. 1875. w marcu w lesie Juśkowieckim Pole było mocno srokate, trudno było zwierza objechać lub obejść, a spotkawszy w przejeździe poszlak, starałem się go wybadać. Było to jednak rzeczą niepodobną. A więc na chybił-trafił poszedłem w zapust sosnowy, nie wyższy nad metr, i chodziłem długi czas z odwiedzionemi kurkami, sądząc, że zejdę dzika w legowisku. Nie nadybawszy go, skierowałem się ku drodze. Naraz ujrzałem na 40 do 50 kroków grzbiet czarny; wystrzeliłem, a przyszedłszy blisko, rozpoznałem z trudnością, iż dzik pomknął w kierunku strzału. Niełatwo mi przyszło odszukać nowy jego poszlak; wreszcie spotkałem kropelkę posoki, a zgubiwszy znów w gęstwinie poszlak, począłem tu i owdzie chodzić po zapuście. Uszedłszy kilkaset kroków w kierunku, w którym dzik po strzale uszedł, spostrzegłem naprzeciw siebie poruszające się ruchem gwałtownym sosenki w kierunku na mnie. Strzeliłem dwa razy, domyślając się znaczenia tego ruchu, a sam po strzałach odskoczyłem w bok, w jakieś prawdziwie szatańskie krzaki, na których się do krwi podarłem. Zjawisko ruchliwe przeleciało tymczasem przez miejsce, gdzie pierwotnie stałem, o jakie 3—4 kroków odemnie. Po chwilach kilku usłyszałem nawoływania mego chłopaka, ktory z końmi stał na drodze. Pobiegłszy w tę stronę, ujrzałem na 60 kroków od drogi świecącego się odyńca. Pierwszy strzał na połeć był trafny i przeszył wnętrzności.

Mógłbym bardzo wiele jeszcze opowiedzieć podobnych scen, poprzestaję jednak na tych dwóch, które, zdaje mi się, dosadnie potwierdzają to, com rzekł, a ręczę, że nie ma w podaniach tych ani kropelki łaciny myśliwskiej.

Zatrzymałem się może za długo nad tym przedmiotem, bo pragnąłem z jednej strony, o ile to możebne, w prawdziwem świetle przedstawić jedną z charakterystycznych cech dzika, a z drugiej strony usunąć u młodych myśliwych obawy, które w wysokim stopniu wpływają na celność strzałów. Chybia się do dzika w skutek emocyi — to prawda — ale chybia się także, widząc w każdym dziku swego mordercę, kochanka bogini z Paphos.

Chcąc o wiele zmniejszyć prawdopodobieństwo smutnych zajść z dzikiem, nie powinno się w ogóle strzelać czem innem jak kulami z broni dobrej i pewnej. Strzelanie do tak grubej zwierzyny śrótem, lub t. zw. lotkami, nie prowadzi do celu, a nawet dla towarzyszy i nagonki jest niebezpieczne. Chociaż zdarza się, że i dzika śrótem lub lotkami położyć się uda; gdy blisko i na połeć wyjdzie, to w regule śrótem go nie zabije, a lotkami tylko wtenczas trafi, gdy się wcale nie mierzy.

Trafny i skuteczny strzał sprawia każdemu myśliwemu przyjemność, zranienie zaś zwierza przykro dotyka każdą szlachetną naturę, wywołuje niesmak i zniechęcenie.

Po takie wrażenia nikt przecież na łowy nie idzie, nikt zatem niepowinien strzelać do dzika czem innem, tylko kulą.

Pudło myśliwskie, to nie wstyd, wszak i wielcy myliwi chybiali. Mimo najszczerszych chęci Bóg gdzieśindziej kulę zaniesie, lub jak Kiciński śpiewa:

„I bywa to, że geniusz zły
Od prochu moc odbierze,
I lubo wystrzał nie był zły,
Ucieka jednak zwierzę.
Nie zawsze strzelcom błogi los
Pomyślnych dni nastręcza,
Ach! nieraz w życiu przykry cios
Dotkliwie ich udręcza.
Sam nawet Nimrod wyznać miał,
Że nie codziennie trafny strzał
Za pracę się wywdzięcza.

Do największej pasyi doprowadza dzika pies. Jakby przeczuciem wiedziony, że wróg ten zacięty a pomocnik wierny człowieka, odkrywa go i na ślepem polu, nie może psa znosić, a spostrzegłszy go, dmucha, kaleczy i tnie niemiłosiernie. Pies, nieobeznany dobrze już z dzikiem, odnosi prawie zawsze lżejsze, lub cięższe ciosy, a często i życiem przypłaca. Przy łowach na dziki z psami, są one kozłami ofiarnymi, bo zwykle na nich wywiera dzik całą zemstę.

Do dalszych cech dzika należy i lubowanie się w wygodach. Naraża on nieraz i swe życie dla wygodnego łóżeczka. Zeszedłem nieraz dzika, leżącego na kopicy zepsutego siana na polanie leśnej, wśród zupełnie otwartego położenia. Tak w rozkoszach pogrążony, da się zejść najłatwiej, a strzał jest bardzo wygodny. Dla amatorów takiego polowania nie potrzeba nic więcej, jak tylko porozwozić po miejscach przez dziki nawiedzanych kupami jakąbądź mierzwę, lub zepsute siano (szczególniej z tatarakiem), a można być pewnym, że znajdzie się on tam niezadługo.

Ze szczególniejszem upodobaniem odwiedza dzik również kopce mrówek leśnych. Przechodząc koło takiego kopca w zimie czy w lecie, nie może się powstrzymać, aby go bodaj trochę gwizdem nie zaczepił. Gdy ziemia i treść takiego kopca z wierzchu przemarzła, odwala całe bryły z wierzchu przemarznięte i pakuje się w środek na leżę. Mrówki w tej porze są pogrążone w śnie zimowym i spoczywają głęboko, to też mu w niczem nie przeszkadzają. Innego celu, jak tylko zgotowanie sobie barłogu, dzik o tej porze mieć nie może, bo treść kopca składa się z resztek organiczych żywicy, szpilek lub ziemi, a zatem rzeczy, których i dzik zjeść nie jest wstanie, a poczwarek mrówczanych podówczas niema, trafi się chyba w pomieszaniu jakaś resztka owadu lub zamarła mrówka.

Gdy wielkie śniegi zapadną, a dzik poruszy w gęstwinach kopce mrówek, to dosyć jest wsłuchać się w las; głosy dzięciołów, żołn i sojek zaprowadzą wówczas na miejsce, gdzie się kopce ruszone znajdują. Ptactwo to w tej porze biedne, a za słabe, aby korzystać ze skarbów, ukrytych w owych kopcach, z upragnieniem wyczekuje chwili, kiedy król lasów naszych, ścieląc sobie łóżko, rzuci im także okruchy.

Taki obrazek widziałem w styczniu r. b. Głosy radosne ptactwa znęciły mnie pójść w gęstwinę. Tam ujrzałem ciepłe jeszcze leże dzika, który się przedemną wyniósł, wyrobione w kopcu mrówek, gdzie już sześć sztuk rozmaitego ptactwa pracowało skrzętnie, wydobywając żer z kopca. Długo stałem, przypatrując się temu prześlicznemu obrazowi, a w umyśle mimowolnie snuł mi się psalm Karpińskiego o stworzeniu świata:

O jakże wielkie są Twe dzieła Panie!
Jakie głębokie Twe myśli,
Szalony człowiek, co nie zważa na nie,
A głupi na próżno je kreśli.

Jeżeli w bliskości tak wygodnych na legowiska miejsc nie znajdzie, buchtuje w ściółce leśnej i w ziemi miękkiej dół odpowiedni wielkości ciała i w tymże przez dzień spoczywa, jakkolwiek spotykałem legowiska i na ziemi całkiem nieruszanej. Kształt buchtowanych legowisk każe się domyślać, że chodzi tu zwierzęciu o ochronę spodniej części ciała, skąpiej wełną i szczeciną okrytej, przed mrozem i wichrem podczas spoczynku i spokojnego trawienia; w porze bowiem ostrej zimowej, są to istne rowy, w których li tylko na brzuchu leżeć może, i różnią się swym kształtem od leży w innych porach przyjaźniejszych. Legowiska całych stad składają się z bucht bardzo nieregularnych, a zwierzęta układają się koło siebie w ten sposób, iż jedno drugiemu ku wygodzie służy.

Rzadko kiedy zdarza się obaczyć za dnia żerujące dziki; zazwyczaj wyruszają w tym celu dopiero o zachodzie słońca. Chyba przy wielkim braku żeru głód im i za dnia spokoju nie daje i z legowisk wypędza. W ogólności dzik jest więcej zwierzęciem nocnem i w tej porze prowadzi dopiero ruchliwe życie.

Do najulubieńszych pokarmów dzika należą niezaprzeczenie niektóre owoce leśne, a mianowicie żołądź i bukwa. Gdy nasiona te zarodzą, ściągają się w te miejsca stada dzików z rozmaitych stron, opasają się ogromnie i opuszczają miejsca te bardzo niechętnie, osobliwie jeżeli w pobliżu mają wodę, bez której wcale obejść się nie mogą. Ztąd przyrodzie dzika odpowiadają najwięcej położenia niskie, równe, gdzie się znachodzą wody i gąszcze łoziny, trzcin i traw o korzeniach pełzających, pożywnych. Przebywa on jednak i w okolicach odmiennych, jeżeli tylko warunki egzystencyi czasowo znajduje, z tą wszakże różnicą, iż niezmiennie korzystne warunki robią go zwierzem gniazdowym, w innych zaś wypadkach jest jedynie przechodnim.

Brak wody w porze letniej, po długo trwającej posusze, wypędza dzika z pewnych ostoi zupełnie. Odwiedza on wtenczas głównie zarośla nad wodami i w ogóle położenia nizinne. W zimie zaspokaja pragnienie śniegiem; to też przebywa i w takich lasach, w których żadnych wód nie ma. Chętnie w tej porze zalega w zapustach świerkowych, sosnowych i w dąbrowach, podszytych leszczyną. A i tu najulubieńszem miejscem dla niego są położenia kociołkowate, w których wysokie rosną trawy i gęsta zakrywa je krzewina. Ze zręcznością niedoopisania przebiega gęstwiny,

w które człowiek wleźć nie jest wstanie. Dopomaga mu do tego budowa ciała w przodzie klinowata.

Wody używa dzik nietylko do zaspokojenia pragnienia, ale także i do ochładzania ciała pod grubą pokrywą tłuszczu, a wreszcie w wodzie znajduje poniekąd i żywność, wyławiając z tejże rozmaite robactwo, mięczaki, płazy, a nawet ryby, a mianowicie te, które w szlamie spotyka, przedewszystkiem zaś liny i piskorze.

Zwyczaj nurzania się i przewracania w wodzie jest dzikom wspólny ze wszystkiemi pokrewnemi rodzajami zwierząt, a nasza świnia domowa dopełnia również tego rodowego zwyczaju, korzystając z lada kałuży. Jeżeli zwierzęta te, osobliwie w porze upałów, wybierają do tego celu najchętniej wody błotniste, to nie kładę tego na karb powszechnie przypisywanemu im niechlujstwu, i zamiłowaniu w nieczystości i brudzie, lecz — pominąwszy już powody przytoczone, które usprawiedliwiają poniekąd nurzanie się w wodach błotnistych — inną w tem widzę przyczynę. W porze letniej, gdy zwierza skąpo tylko kryje szczecina od napadu owadów, znajduje on w czystej wodzie tylko tak długo ochronę, pokąd woda okrywa ciało, błoto zaś, mechanicznie przylegając do ciała, przynajmniej do czasu pewnego służy mu ku ochronie.

Prócz owoców leśnych znajduje dzik w lesie grzyby, słodkie korzonki paproci, trzciny, i t. p., dalej owady, poczwarki i gąsienice tychże, w porze letniej spasa również trawę, z lasów wychodzi na pola i tutaj oprócz jęczmienia wszystko mu smakuje, a w szczególności owsy w mleczku, proso, kartofle, kukurydza itd.

Sposób trawienia dzika i w ogóle urządzenie całego aparatu nie jest tego rodzaju, aby mógł przetrawiać wielkie ilości włóknika roślinnego, jak to czynią zwierzęta przeżuwające, a w szczególności owce, które oprócz 4 żołądków, posiadają aparat trawienia 28 razy długości ciała. To też nie dziw, że najchętniej żeruje dzik wszelkie ziemiopłody w porze, gdy są w mleczku i gdy włóknik jeszcze nie stwardniał.

Przy wycieczkach swych w pole więcej dzik szkody wyrządza niż rzeczywiście spożytkuje, bo wobec mnogości żeru przebiera wymyślnie, wytłacza, kartofle przerywa i wyrzuca na powierzchnię, a tylko pojedyncze zjada, w ogólności czyni straszne spustoszenia. Rzecz naturalna, iż szkody przez dziki w polach wyrządzone stają się tem większe, im mniej zwierz żeru w lasach znajduje; chociaż nie wstrzyma dzika i żer w lesie, gdy na polach okolicznych dojrzewa owies lub zasmakują mu kartofle. Raz znęciwszy się, odwiedza co nocy nieszczęśliwe pola, a czyni to tak ostrożnie, iż rzadko kiedy odbiera karę za wyrządzone szkody. Wycieczki te odbywa prawie zawsze o jednej i tej samej godzinie, gdy już dobry zmrok zapadnie.

Mieszkając pod lasami, w których dzik jest zwierzem gniazdowym, mógłbym całe tomy spisać o nocnych wyprawach tego roztropnego szkodnika. Gdy noc jest jasna, bywa on tak uważnym, iż trudno na zasiadce go dostać, w ciemnicy zaś, gdy strzał jest niepodobnym, zbliża się do człowieka z całą rezygnacyą.

W lecie r. 1888. wyrządzały mi dziki ogromne szkody w owsie i prosie pod lasem. Przesiedziawszy kilka północków w polu, a nie mogąc w żaden sposób przyjść do strzału, pomimo, że stałem ukryty, a noce widne były, kazałem wykopać na polu jamę, w której zupełnie się schować mogłem. Tak schowany doczekałem się około godz. 10. wieczorem nad samą jamą dzików, spostrzec ich wszakże nie mogłem, bo proso było wysokie, a księżyc słabo wtenczas świecił, lecz szelest jaki sprawiały i dmuchania od czasu do czasu kazały się domyślać, że jest ich z dziesięć sztuk. Serce uderzało mi jak młotem, emocya aż w gardle gdzieś dusiła, lecz nie mogłem strzelać, a one proso moje z trzaskiem rwały. Wreszcie zrobiło się ciemno, ale tak, jak chyba niegdyś w Egipcie, księżyc skrył się za jakieś strasznie ciężkie chmury i wtedy właśnie usłyszałem kroki tuż nad jamą. Strzelić było niepodobieństwem. Chwilę cierpiałem jak Tantalus, źrenice mi się na darmo powiększały — wreszcie grudka ziemi usunęła się u ściany jamy, i całe stadko w dzikim pędzie pognało ku lasowi. Całą tę scenę naturalnie tylko słyszeć mogłem. Wylazłszy zły i skompromitowany z jamy, udałem się na spoczynek.

(Dokończenie nastąpi.)

ŁYSY JANEK.

Według opowiadania

powtórzył

ALEKSANDER UBYSZ.

Po dobrze zdanej maturze, matka moja, u której byłem jedynakiem, długo przemyśliwała, jaki by zrobić mi dar, stósowny dla pół-męża. Wymyśliła w końcu, zakupując w handlu broni Stillera dubeltówkę, torbę, słowem wszelkie przybory myśliwskie, i stawiając to wszystko w moim pokoju. Posiadać podobne przedmioty, od wielu lat było mojem najgorętszem życzeniem, toż łatwo wyobrazić sobie, z jakim zapałem przyjąłem te wszystkie cenne dary. Niemniej mnie ucieszyła wiadomość, że w krótce pojedziemy w góry Sądeckie, ponieważ rodzona siostra matki mojej, ciocia Brygisia owdowiawszy, sprzedała wieś w Tarnopolskiem, a odkupiła wieś rodzinną w górach sądeckich i do siebie nas na wakacye zaprosiła.

Sądeckie, Tatry, pomyślałem sobie, toż to rozkosz, Tyle się o urokach tatrzańskich naczytałem w szkolnych „Wypisach polskich“. A wychowany we Lwowie, nie widziałem większych gór, nad Wysoki Zamek i „Czartowską skałę“, którąśmy studenci pompatycznie „Szwajcaryą galicyjską“ przezywali.

Podróż nasza wypadła w połowie lipca r. 1859. Kolej żelazna w owym czasie była dopiero w budowie, przeto jazda w stronę zachodniej Galicyi odbywała się pocztą rządową, w tak zwanych „szybkowozach“. Prawdziwa to była ironia, gdyż „szybkowóz“ poruszał się nader nieszybko, co wszystko mnie, pragnącego jak najprędzej stanąć we wsi *⁎*, mocno irytowało. Dojechaliśmy wreszcie do Dembicy, odkąd kursowała już kolej żelazna. Tam, mówiąc z poetą, „skrzydłom pary powierzyłem myśli moje“, w których wiły się niedźwiedzie, wilki, rysie i turnie tatrzańskie, pełne zgrabnych kozic.

W Bochni, na dworcu kolei, oczekiwał nas powóz, istna arka Noego z czterma bardzo spasionymi i bardzo starymi końmi. W dodatku duży wóz drabiniasty pod rzeczy. Na wozie tym ulokowała się służąca nasza, Kasia. Kto była ta Kasia? Osoba nader wpływowa w domu mojej matki, której była służącą co najmniej lat trzydzieści. Nadmieniłem już wyżej, że byłem jedynakiem u matki mojej, wdowy od lat 16, toż „Kasia“, mimo lat sześćdziesięciu tak zdrobniale nazywana, była rodzajem mojej współopiekunki i uważała mnie mimo lat 19 i zdanej matury zawsze za dziecko, za „Jasia“. Irytowało mię to czasami, ale nie śmiałem wyłamywać się otwarcie z pod opieki „Kasi“.

Po dwudniowej, niemniej powolnej jak pocztą podróży, późnym wieczorem stanęliśmy w *⁎*. Całą noc nie spałem, nabiwszy sobie głowę tem wszystkiem, co jutro zobaczę. To też z brzaskiem dnia, uzbroiwszy się w dubeltówkę, opuściłem pokój niepostrzeżenie i podążyłem w pobliski las jodłowy.

Co bór podtatrzański, to nie podolski gaik, toż spodziewając się co chwila napotkać dzika, wilka, lub niedźwiedzia, obydwie lufy dubeltówki mojej nabiłem kulami. Że trafię, byłem pewny; przecież odbyłem już „frycowe“, czyli po ubiciu pierwszego zająca przed gończakami, starzy myśliwi pasowali mnie na myśliwego. Wprawdzie ceremonia ta odbyła się nieco boleśnie, bo — umazanego farbą szaraka, którego ubiłem, położono mnie na ziemi leśnej polanki, zasłanej kobiercem, który matka przyroda przeróżnem utkała kwieciem i od najstarszego wiekiem druha myśliwskiego otrzymałem trzy niezbyt łagodne uderzenia sforą. I później udawały mi się niekiedy trafne strzały — a wię naprzód w przygody z podniesionem dumnie czołem!

Zagrzany myśliwskim zapałem, anim się spodziewał, jak daleko w ciemny, przepaścisty bór zaszedłem. Nie tu, to tam, spodziewałem się napotkać grubego zwierza, o którego gęstości w górskim borze byłem przekonany. Tymczasem ani widu, ani słychu, małej nawet ptaszyny nie zoczyłem. W lesie, jakkolwiek ciemnym i dość dużym, martwa panowała cisza. W lipcu i sierpniu przypada pierzenie się ptactwa; z tej przyczyny milczy ono, nie spiewa, ani wabi. Czworonożna zwierzyna niemniej ulega skwarom lata; przebywa zdala od brzegów lasu, zaległszy w ciemnych i chłodnych gęstwinach, i dopiero wieczorem późnym na żer wyrusza.

Było już około południa, a ja bezprzestannie kroczę nieznanym sobie lasem, gotowy do strzału, co by się wymknęło. Naraz zatrzeszczały łomy, zaszumiało w młodym jodlniku... już i grzbiet płowy dostrzegłem... byłem pewny, że niedźwiedź, więc palę z obu lufek. Aż tu w podskokach wybiega z gąszczy jałówka z zadartym w górę ogonem, jak to bydło ma zwyczaju, gdy je „gzik“ latem prześladuje. Czułem, jak krew zarumieniła lica moje na to pudło z odległości 30 kroków. W dodatku, jakby na ironię, tuż po moim strzale, w pobliżu mnie odezwała się trąbka myśliwska i mnogie głosy myśliwskie, jakby nagonki. Ładna rzecz! polowanie jakieś — nuż widzieli moje pudło... Trąbiącym był leśniczy i wieśniacy, przez ciotkę moją w las wysłani, żeby mnie poszukać. Leśniczy zapytał mnie z drwiącą miną, gdzie zwierzyna, do której aż dublowałem?

— To była... to jest... — poprawiłem się — strzelałem do celu.

Wracamy — ja z bardzo rzadką miną. W połowie drogi napotkałem dążące w las matkę moją, ciotkę i Kasię. Najdłuższe kazanie wypowiedziała Kasia.

— Co to jest — mówiła, w kaznodziejski wpadłszy zapał — żeby Jaś (to jest ja) — tak martwił mamę i ciocię? Cośmy się nie napłakały, myśląc, że cię spotkało jakie nieszczęście. Któż widział - dodała, zwracając się do matki — dawać dzieciom strzelbę?

Dzieciom? Byłem oburzony; tem bardziej, że jeszcze tej nocy strzelba moja wraz z całym przyborem myśliwskim znikła gdzieś z mojego pokoju. Prosiłem matkę i ciotkę o jej zwrot — Kasi po nieudałych prośbach zrobiłem awanturę — lecz nadaremnie; nawet na wstawienie się obu pań Kasia była głuchą. Lecz zjawienie się dawno niewidzianego gościa, wybawiło mnie z nudów i zwróciło upragnioną strzelbę

Pewnego dnia zjawił się w pokoju, w którym wszyscy razem siedzieliśmy, człowiek snać mocno stary, bo zdradzała to twarz żółta i mocno pomarszczona. Po włosach nie poznałbyś wieku, albowiem przybyły obyczajem górali tatrzańskich ni wąsów, ni brody nie nosił, a głowa była łysa jak kolano.

Matka i ciotka moja na widok przybyłego, zerwawszy się z siedzeń swoich, co tchu z radośnym okrzykiem „Janek“ podbiegły ku staremu góralowi, a ten je obie z ojcowską prawie czułością w czoła ucałował.

— O moje dzieci, przecież was widzę jeszcze, tyle lat, tyle lat! Brygisia podobniusieńka do nieboszczki pani, a Ewcia (matka moja) to wykapany nieboszczyk pan Jan.

I mnie przedstawiono temu człowiekowi w grubej, czarnej guni. Coś chciał wyrzec, lecz nie zdołał, tak był rozrzewniony.

Kimże był Janek, nazwany „łysym“? Oto prostym góralem tatrzańskim, trochę „bacą“, a w trzech częściach myśliwym, znanym i słynnym nietylko po galicyjskiej stronie Tatr, lecz nawet w sąsiednim, obecnie do Węgier należącym Sipiżu. Pod ową porę liczył więcej niż 80 lat, mimo to trzymał się prosto i chodził, osobliwie po górach, jak jeleń, chyżo i niezmęczenie. Słynął jako myśliwy na kozice. Nikt odeń lepiej nie wiedział, w której stronie Tatrów, lub na której przebywają „turni“. Strzelał wyłącznie tylko kulą ze swojej staroświeckiej, ciężkiej „gwintówki“ o krzemiennym kurku. Dumny był jak prawdziwy król Tatrów. Do młodszych wiekiem od siebie, chociaż wyższych znaczeniem, nigdy inaczej nie przemawiał jak „ty“. Znali go z jego szorstkości, ale tylko pozornej, i nikt się za to nie obrażał. Niewiele lubił mówić w ogóle, a na łowach stawał się milczącym; chyba po wyrazistych oczach jego poznałeś, co tkwiło w tym niezwykłym człowieku. Rzadko opowiadał o niezwykłych przygodach swojego życia. A słynął z prawdomówności tak, iż gdy komu wydały się słowa jego nieprawdziwe — „Ja to mówię“ — odpowiadał z dumą, i wobec osób, które okazały niewiarę, na zawsze przerywał swe opowiadania.

Janek, dowiedziawszy się, że wieś *⁎* na powrót przeszła w posiadanie rodziny, z którą się zżył i zaprzyjaźnił,

dzieląc z nią dolę i niedolę, umyślnie wybrał się w odwidziny po trzydziestoletniem blisko niewidzeniu. Mówił:

— Ludzie „padali“, że córka nieboszczyka pana Jana zakupiła ojcowiznę, otóż i jestem.

Toż przyjętym był jakby członek naszej rodziny.

— A cóż Jasiu — przemówił do mnie — masz ochotę do strzelby? Chyba że masz, bo to nasze rodzinne. Nie wiem, jak twój rodzic, bo go nie znałem, ale dziaduś był bodaj czy nie gorętszym jak ja myśliwym. A co my to napolowaliśmy się razem po „reglach!...“ Były tam jeszcze w owym czasie jelenie i niedźwiedzie, gdy dziś — dodał ze smutkiem — jelenia „nie uświadczy“, a niedźwiedź ta jest jeszcze, ale czem raz rzadszy, bo i „regle“ porzadły, a drzewo zabrały żydy i Niemcy... O, i wyżej, na hale i turnie zachodziliśmy z częsta, bijąc kozy.

— Jaś — odpowiedziała matka moja — tyle ma ochoty do strzelbki, że aż się boję.

— Nie macie się ta czego bać. Chłopakowi rozum i statek z oczu patrzy, niechaj będzie czem był dziaduś, rolnikiem i myśliwym. Alboć to złe?

Omal że nie uściskałem za te słowa starego górala. Bo już mówiąc prawdę, od chwili zdania matury, wszelkie, osobliwie fachowe studya mi nie pachniały.

— Matka — rzekłem — boi się o mnie, aż strzelbę zabrać mi kazała.

Ztąd wywiązała się dyskusya. Kobiety, nie wyłączając Kasi, broniły swoich poglądów, a ja swoich. Dobrze musiałem bronić mojej sprawy, skoro trybunał w osobie łysego Janka zawyrokował, że dziewczynie kądziel, a chłopcu szabla, lub strzelba się patrzy.

— A masz ty Jasiu ciekawość poznać Tatry nasze? — zapytał w końcu.

— O! mam!

— A kiedy tak, to imoście pozwolą, że Jasia tam zawiodę. Znam ja Tatry, znam, i po tej i po węgierskiej stronie.

Matka moja, a właściwie cały *trium-feminat*, pod którego byłem opieką, nie śmiejąc opierać się Jankowi, zezwolił wreszcie na ową wycieczkę pod jego opieką.

Po trzydniowej u nas gościnie, mimo usilnych próśb, żeby pozostał jeszcze, stary góral zamyślał o świcie powracać w swoje góry. Mnie w tę niezbyt daleką podróż wyprawiano jakby do Ameryki. Pełen wózek naładowano różnemi „materklasami“. Oprócz żywności przeróżnej i sukień zimowych, które na szczytach Tatrów okazały się wielce przydatne, dla Janka (o czem na razie nie wiedział) włożono korzec pszenicy ozimej, która na halach jest rzadkością. Włożono i siodło, żebym wycieczkę w góry odbyć mógł wierzchem na jednym z koni zaprzężnych.

Ano przed świtem zajechał nasz wózek. Matka moja, ciotka i niezbędna w radzie Kasia, wezwawszy Janka na tajną konferencyę, takie (jak podsłuchałem) dawały mu instrukcye:

— Prosimy was, Janku, uważajcie na Jasia, niech się zbyt nie utrudza, zaprowadźcie byle na jaką górę, i powiedzcie, że to wszystko. Bo uważacie, to wątłe dziecko.

A liczyłem wtedy, jak się rzekło, lat 19 i silny byłem jak dąb.

— A ze strzelbą — ciągnęły kobieciny błagalnym głosem — chociaż to pod waszą opieką, może by całkowicie dać pokój... Ot niech strzela wróble.

— Ależ moje imoście, u nas na halach nie ma wróbli — odpowiedział Janek basowym głosem, w którym brzmiała jakowaś filuterność.

Nareszcie, po czułem pożegnaniu, wsiedliśmy na wózek, i dalej ku krainie moich marzeń.

Janek całą drogę albo opowiadał mi, co u niego niezwykłe, dzieje wiosek i ich właścicieli, lub „mantyczył“, strofując fornala:

— A nie goń jak opętaniec, bo skoro przyjdzie w góry, to chyba sam ciągnąć pomożesz.

Lub znowu:

— A nie „ćpaj“ (podcinaj) naręcznego, bo ci się „znaturzyć“ (znarowić) gotów. „Od się“ (na prawo). „do się“ (na lewo) i tak bezprzestannie.

Ujechaliśmy ze dwie mile, i wypadł popas w karczminie, u skraja wąwozu, którym wiodła dalsza już górzysta droga. Czem dalej, tem częstsze przeprawy przez szumiące potoki. Wegetacya prawdziwie górska, bujna trawą i ziołami a skąpa zasianem zbożem. Podnóże gór obsiane owsem, jak pszenicą, lub żytem, także jarem, bo ozime się nieudaje. Wierchy, czyli szczyty, daleko więcej skaliste niźli w Bieszczadach. Droga poczynała być czem raz stromszą, natura dzikszą. Na jednym z działów, którędy prowadziła drożyna, w oddali ujrzałem skaliste, olśnione słońcem szczyty Tatrów. Zachwycony byłem ich widokiem. Uważał to Janek.

— A co! tam ojcowizna moja — rzekł, wskazując z dumą na sioło, wężem u rzeki się ciągnące. To Jurgów, w nim mieszkają wnuki i prawnuki moje, a ja mam tam, tam! dalej za wsią chatę moją, skały ją zasłaniają — ostatnia, przeto po naszemu zwie się „zatracona“, bo kto w takiej mieszka, to jakby skazany na zatratę. Ale ja, chwalić Boga, żyję w niej nie od wczora, z córką wdową, bo „moja“ już dawno u Boga... A teraz hamuj dwa koła i spuszczajmy do wsi, gdzie z końmi u wnuka mego gazdy zostaniesz, bo my z paniczem jeno w „piechty“ do chaty mojej się dostaniemy.

Zagroda. do której wjechaliśmy, jak wszystkie niemal zagrody górali tatrzańskich, odznaczała się czystością tak zewnątrz jak i wewnątrz.

— To moja córka — przedstawił Janek kobietę siwą jak gołąb, — to jej niewistka (synowa), to syn i t. d.

Niedługo zabawiwszy, ruszyliśmy z Jankiem ku owej „zatraconej“ jego chacie. Wyznam otwarcie, że droga, a raczej ścieżynka. wiodąca pomiędzy nagiemi skałami, ponurość, dzikość i jakowaś głusza całego tego ustronia, najwłaściwszą mi się wydała. Po blisko półgodzinnym pochodzie w przeróżne wykrętasy, okrążania i przeprawy przez potok „ławicą“, czyli kładką o jednej poręczy, dotarliśmy wreszcie do Jankowej chaty.

Zagroda cała na pozór w niczem się nie różniła od innych we wsi, a przecież była tu znaczna różnica w budowie, osobliwie od strony północnej. Dach pokryty „dranicami“, czyli deskami, przedłużał się w tej stronie aż ku samej ziemi, a w dodatku, dla wzmocnienia od gwałtownych wichrów, ponakładany był dużemi kamieniami. Cała, dość wreszcie obszerna zagroda, w której mieściła się stajnia i stodółka z brożkiem na siano, okolona była mocnym i wysokim parkanem. Wnętrze chaty, świetlica i alkierz wzorowo czyste.

— Ot. i w mojej jesteśmy chacie — przemówił Janek. — Ubogo tu, prawdziwie jak u górala, ale kto przywyknie, nie tak smutno jak się wydaje.

W samej rzeczy, droga do „zatraconej“ smutna była i utrudzająca, lecz pogląd z niej w dal ku halom i turniom był w swoim rodzaju czarownym.

Po wieczerzy sutej, gdyż była i „gruca“ (kasza owsiana) na mleku na rzadko, kiełbasa z jajecznicą i sławne gomółki

owcze tatrzańskie na deser — na wonnem sianie, pokrytem bieluchną jak śnieg i dość cienką bielizną, do snu się ułożyłem. Młody, w dodatku zmęczony podróżą, którą dla ulżenia koniom, po stromych górach przeważnie pieszo odbyliśmy, wkrótce usnąłem snem młodzieńca.

Na drugi zaraz dzień przedsięwziąłem z Jankiem podróż ku halom, a ztamtąd ku najwyższym turniom, gdyż Janek pragnął odwiedzić swe „szałasy", którym „bacował", czyli gospodarzył.

— Ot — mówił Janek, zarzucając na plecy swą gwintówkę — dawniej posądzali mnie ludzie o czary, że rzadko kiedy wracałem bez zwierzyny, ale zatkałem im gęby ot tem — dodał, wskazując na lufie strzelby dość zgrabnie wyryty krzyż i na łożu wyrzeźbione słowa: Jezus Marya — Umię strzelać i nic więcej.

Ścieżynka, czyli „perć" po tatrzańsku, wiodła gęstym lasem u podnóża stromych regli. Żmudna to praca, osobliwie nieprzywykłemu, pochód ciągle w górę, w dodatku częste przeprawy przez jary i płynące w nich potoki. Spoczywałem co kilkadziesiąt kroków, a Janek, starzec 80-letni, obciążony ciężką swą gwintówką i dwoma torbami, pełnemi przeróżnych prowiantów, szedł jakby na przechadzce, niezapociwszy nawet czoła. Ja, oprócz małego zapasu amunicyi w torbie, strzelby i sukni zimowej, którą wziąć Janek mi najusilniej polecił, nic zbyt ciężkiego nie dźwigałem, a przecież kąpałem się w obfitym pocie. Wreszcie skończyła się śliska „perć" reglana. Stok hal, czyli łąk górskich mniej był stromy w tej stronie, wreszcie i do „bacówki" było już niedaleko. Po krótkim spoczynku raźniej ruszyłem za mym przewodnikiem. Zapaliwszy fajeczkę, pytam Janka:

— A wy nie zakurzycie?

— Nie nakładałem się do fajki, bo cóżbym robił, podkładając się pod „kierdel" kozic? Mają one wzrok, słuch i węch tak doskonały, że byle co je płoszy. Dla tej przyczyny nie nakładałem się do fajki, bo by mi bez niej było „cno", gdy niekiedy i pół dnia na zbliżenie się kóz czekać wypadnie. Z dziadziusiem twoim miewałem biedę; chce palić, ja nie daję, a on się za to fuka. Ale owoż i bacówka moja blisko, ot, i stróż jej wierny. No, no, Brysiu, dość tego — dodał Janek, opędzając się z lekka kudłatemu psisku, co łasząc się, do nóg mu przypadło i skomlało z uciechy, na mnie wszakże niepewnem poglądając okiem. A było to psisko duże, włochate, czarno podżare, widocznie mieszaniec z psów prostych i ogarów węgierskich kudłatych.

— Wara Brysiu! to swój! — I pies, jakby rozumiejąc te słowa, najprzód obwąchawszy mnie, począł się łasić.

Jeszcze uszliśmy kilkadziesiąt kroków, przebywając jar, którego ściany gęsto porośnięte były jałowcem, różą dziką i „krzyżowajcem" (szakłakiem) i stopa moja po raz pierwszy w życiu dotknęła hali tatrzańskiej. W pierwszym zapale, żeby uczcić tak wielką dla mnie chwilę, z obydwu naraz lufek na wiwat w powietrze wypaliłem. Tysiączne ozwały się echa. Odgłos odbijając się o zasłony nagich skał, huczał groźnie jak grzmoty.

Weszliśmy do chaty, na wpół w ziemię wkopanej i z niekształtnym dachem, na poły drewnianym, na poły darniowym. Chata ta i w ogóle wszystkie „bacówki" górali tatrzańskich, to nie „koleby" górali w innych częściach Karpat. Koleby jak wiadomo, są przenośne, można je w miarę posuwania się szałasu owczego lub bydlęcego, z łatwością rozebrać i przestawić. Górale tatrzańscy, którym jedynie o wypasanie swych trzód, a nie o uprawę pól przez koszarowanie chodzi, uważają koleby swe, czyli bacówki za mieszkanie bacy i juhasów, oraz za składy nabiału stawiają je przeto stałe, częstokroć wiek cały na jednem miejscu stojące. Tuż przy bacówce mieszczą się właściwe koszary na owce, bydło rogate, a jak w niektórych okolicach, i konie. Juhasi pasą owce i bydło rogate, doją je, ogrzewają ser, znany w postaci bundza albo bryndzy, lub słynnych „gomółek", które na targu krakowskim sprzedają. Wnętrze bacówki po swojemu pięknie, chociaż nie nader ponętnie wyglądało. W samym środku ogromnej izby u belki, podtrzymującej dach, wisiał na łańcuchu duży kocioł miedziany, w którym odgrzewano mleko owcze na bryndzę. Przy ścianach stały szerokie ławy, na nich mieściły się różne naczynia i sprzęty gospodarskie. Dalej obszerne łoże bacy, wyścielone mchem zmięszanym na poły z wonnem sianem górskiem. Nie wykwintne ono było, ale wygodne, a co najważniejsze czystą pokryte bielizną. Podobnych łóżek na „soszkach" opartych było kilka; jedno z nich dla mnie przeznaczono.

Przed wieczorem, czterech młodych i rosłych górali przyniosło ze wsi rzeczy moje, t. j. kocyk, poduszkę skórzaną i niektóre drobiazgi; przyprowadzili nawet jednego z zaprzężnych koni, który wedle życzenia mej matki służyć mi miał za wierzchowca do dalszych w góry wycieczek.

Oto już i wieczór. Juhasi poprzypędzali liczne trzody owiec i bydła. Poczęła się krzątanina gospodarska, której z zajęciem się przypatrywałem. Juhasi kolejką pełnili obowiązki gospodyń, chodząc około nabiału, piekąc placki owsiane, warząc strawę dla reszty towarzyszy. Po wieczerzy, gdy cała drużyna tych rosłych, ogorzałych parobczaków obsiadła ognisko, fantastyczny, godny pędzla był to obrazek. Kilka fuzyj i pik zawieszonych na ścianach, olśnionych czerwonem światłem ogniska, nadawało całości tej pozór wnętrza kryjówki zbójeckiej. W podobnych to bacówkach, których jest mnóstwo tu i tam na halach tatrzańskich, przed wiekiem wraz z bandą swą ukrywać się miał osławiony Janoszczyk, herszt bandy zbójeckiej. Janoszczyk pierwej miał być bacą, a do ostatka towarzysze jego werbowali się z juhasów.

Nazajutrz, gdym na dwór wyszedł, w całej tej zagrodzie było już pusto. Nawet Janek wyszedł, prawdopodobnie celem zrobienia przeglądu w reszcie koszar, których było jeszcze kilka. W domu pozostał tylko juhas, na którego wypadła kolej, i mądry Bryś, strzegący bacówki. Pozostały juhas, przystojny góralik w moim wieku, miast pracy około gospodarstwa, gawędził ze mną. Bawiły go przybory moje myśliwskie, a najwięcej strzelba z dwoma lufkami o kurkach nieskałkowych. Wspólnie strzelaliśmy do celu, przesadzając się w trafności strzałów. Ach, żeby jaka zwierzyna!

— Nie ma jej tu na halach, panoczku — odpowiedział juhasik. — Czasami tylko niedźwiedź tu z podhalskich lasów na łowy kozic lub bydła zachodzi.

— A polujecie na niego? — zapytałem.

— A jakże. A od czegoż wiszą „ondzie", zawsze nabite rusznice. A czem one nabite, nie ołowiem, jeno kawałkami żelaza, co go „darmochą" w pobliskiej ztąd hamerni dostajem. Co się stało łońskiego roku opowiem: Ztąd kawał drogi, jest śród hali góra, a na jej płaskiem wierzchu dolina zwana „Muraj". Boki tej doliny wysokie w trzy chłopy, że po drabinkach na jej grzbiet leźć potrzeba. Wierzchem ciągnie się duża dolina, środkiem niej płynie mały potoczek, a pasza tam sławna. Otóż juhasi wszystkie jałowe owce i barany, przeznaczone na tuczenie, na plecach na wierzch tej doliny wynoszą, tamok bez pasterzy je cały czas pozostawując. Ano, po pewnym czasie baca, chcąc zobaczyć jak

się ona trzoda ma, wylazł tam po drabince. Patrzy, aż ci stary niedźwiedź oprawia złowionego przez się barana. Strzelił i ubił bestyę.

— A którędyż się tam niedźwiedź dostał?

— Albo ja wiem. Ludzie padali, że to nie był niedźwiedź, ino „charakternik“.

Pytałem później o to Janka, i potwierdził owo zdarzenie.

Nie ma na halach stale przebywającej zwierzyny. Chyba czasami wysoko szybuje orzeł skalny. Otóż z nich jeden, ale zbyt odemnie daleko i wysoko, więc strzał niepewny. Czekam, może się zbliży i zniży — wtem rozległ się huk strzału. Orzeł, którego lot śledziłem, wraz po owym strzale zwinął sobą i spadał ku ziemi.

Ho, ho! to chyba nasz stary baca strzelił — zawołał juhasik.

W samej istocie, po niejakim czasie nadszedł łysy Janek, niosąc zdobycz łowiecką, ogromnego orła, z piersią od kuli przeszytą.

Dość wcześnie było jeszcze, toż pośniadawszy, ruszyliśmy z Jankiem ku szczytom Tatrów, na których miejscami zielenią się turnie, dostępne chyba góralowi lub kozicy. Ja jechałem konno, Janek szedł piechotą. Podziwiałem tego starca, z jaką pewnością kroczył po tych wąskich, a stromych „perciach“ z usuwającemi się co chwila „piargami“. Ależ i droga stawała się coraz przykrzejsza; miejscami wypadło skakać z głazu na głaz, lub było tak stromo, że bez czepiania się krzaków kosodrzewiowych, niesposób było zrobić kroku. Koń stał się nie do użycia. Przewidział to naprzód Janek, toż przykazał młodemu juhasikowi, a towarzyszowi mojemu w zabawie, towarzyszyć nam w tej wycieczce i potrzymać konia aż do naszego powrotu. Ruszyliśmy we dwóch. Janek szedł przodem, ja kroczyłem za nim.

— Teraz — mówił Janek — cisza, ani mru mru, będziemy podchodzili kozy, które hajnok na owej, bielącej się od śniegu turni być muszą. O tej porze poić się zwykły, a że w pobliżu nigdzie źródełka nie ma, dlatego idą na ową turnię „białachę“. Śnieg one tam liżą. A masz ty Jasiu dobre oczy? — zapytał z cicha.

— Nieszczególne, ale mam na to sposób.

Dobyłem z torby niewielką lecz dobrą perspektywę.

— Bogać to dobre — rzekł Janek, poglądnąwszy w dal przez szkła. — Takusieńką miał jakiś Niemiec, prefesur, co temu lat parę aż do mnie go przywiedli. Przywiódł go pan jakiś z Krakowa, i tłómaczył, bom nic nie rozumiał jego baraniego języka. A było raz tak: Zachciało się Niemcowi widzieć jak najbliżej kozy, więc widział je nawet bardzo blisko. Poszliśmy samotrzeć, ja ze strzelbą, a on ino tak. Niemiec bez przestanku patrzał przez oną rurkę ze szkłem, i co chwila mu się widziało, że koza „cupi“ na wierzchołku skały*). Wonczas, a będzie temu bez mała lat 30, miałem jeszcze wzrok lepszy niż dziś Niemiec mówi: „Gemza“, a ja rzuciwszy jeno okiem, dostrzegłem, że to odłam zczerniały skały. Dłuższy czas ani Niemiec przez rurę, ani ja, nie mogliśmy „uświadczyć“ pojedyńczego capa ni kierdla. Aż pojrzę, na jednym ze szczytów, w pobliżu „mrugalca“ zasiadł orzeł. Aha! mówię, są kozy, a nawet kierdel, bo orlisko czatuje, rychło się koźle jakie samo, lub nawet z matką z czeredki na bok nie odbije, bo wtenczas orzeł jak błyskawica wpada na dół i porywa jagnię. Kierdel w trzy lub więcej sztuk, nie dopuści orłowi wziąć koźlęcia, śmiało uderzają nóżkami i odpędzają go. Ano, teraz będziemy podchodzili, ja z tej, a ty Niemcze oną „percią“ z drugiej strony. Umyśliłem ubić rocznego capka, ponieważ taki jeszcze z kierdlem chodzi. Obejść znaczne koło przez urwiska i skalne zawady, potrzeba czasu niemało. Obszedłszy wreszcie, słucham... gwizdło. Znak to, że kozica, stojąca na straży, dostrzegła niebezpieczeństwo. Przyspieszam więc kroku i z po za krzaku limbowego już mam się złożyć, gdy wtem kierdel z 8 sztuk złożony pomyka co tchu w stronę, gdzie dostrzegłem Niemca. Stał na ścieżce wąziuchnej, jak gzems na wieży kościelnej. Po nad nim wysoka i gładka skała, a pod nim straszna, skałami najeżona przepaść. Boże, po co on aż tam wyszedł! Nuż mu się powinie noga. Kozy tymczasem, sam nawet nie wiem dla czego, nie uciekały w stronę gdzie ja stałem i gdzie po przekroczeniu nieszerokiej rozpadliny była druga jałowa turnia, tylko właśnie w onę przepaścistą stronę, gdzie stał Niemiec. Kozy mają to w zwyczaju, iż w popłochu pędzą na oślep, zda się, że nic nie widzą wtedy. Wyjaśniła się przyczyna popłochu kóz, albowiem tuż za niemi zjawił się ów orzeł, na szczycie czatujący. Za długo snać czekać mu było na odłączenie się koźlęcia od kierdla, toż znagła jak błyskawica spadł pomiędzy nie. Powstał popłoch i chwilowe rozpierzchnięcie się stada. Skorzystał z tego rabuś i wnet padłszy na rocznego capka, ujął go szponami, okrywając skrzydłami. Nie mógł go unieść w powietrze, bo był za duży. Położyłem go celnym strzałem z mej gwintówki. Odwracam oczy i straszny, jakkolwiek i śmieszny ujrzałem obraz. Cały kierdel kóz, jedna po drugiej przeskakują szeroką rozpadlinę pomiędzy turnią a ścieżką, na której stał Niemiec, nie zważając na niego, gdyż się był na wąziuchnej perci plackiem położył. Przeskakują przez Niemca i znikają wnet za załomami skał. Krakowianin gdzieś w tyle był pozostał. Świadom ścieżek i przechodów przez skały, wnet dobieżałem miejsca, w którym stał się on wypadek. Niemiec nie przyszedł był jeszcze do siebie z omdlenia. Ocuciłem go kilkoma kroplami wódki i jak dzicię w bezpieczniejsze miejsce na rękach wyniosłem. Czy myślisz, że Niemiec zaniechał dalszego włóczenia się po górach? Gdzie tam! Zaraz drugiego dnia aż na szczyty „Koszystej“ wodzić go musiałem, i tak codziennie przez całą niedzielę (tydzień). Będac już o Niemca bezpiecznym, poszedłem ku owej lodowej turni po ubitego orła i capka, który, jakkolwiek żył jeszcze, lecz mocno osłabiony, bo mu orzeł już był wypuścił trzewia.

— Ano, spocząłeś Jasiu — dodał Janek, skończywszy swe opowiadanie — więc czas nam pójść dalej. W czasie pochodu nic mówić nie będziemy, bo kozy, to ostrożne biedactwo, cała ich ochrona w czujności i nogach.

Do tej pory szliśmy ścieżkami, a właściwie utworzonemi przez naturę przesmykami, lub jarkami pomiędzy skały, które przytem zakrywały nam pogląd na niżej leżące hale. Gdyśmy wstąpili na iglicowaty szczyt jednej z mnogich gór bez nazwy, przecudowny i niezwykły oczom moim otworzył się widok: Hale i niższe po za reglami leżące okolice gęsta biało-sina zakrywała mgła. Zdawało się, jakoby nowy potop na ziemię zawitał. Złudzenia tego dopełniał błękit niebios, najmniejszą chmurką niezamącony. Nagie, skaliste wierchy Tatr kąpały się w promieniach słońca. Ciepło było przytem, lecz czasami w odstępach pociągał wiatr zimny jakby śród grudnia.

— Wracajmy na dół co tchu — zawołał Janek zaniepokojony. — Mgła i chmury ciągną w górę ku nam. Słyszysz,

*) „Cupi“ oznacza gdy kozica wszystkiemi czterema nóżkami na iglastem zakończeniu skały stanąwszy, rozgląda się na około, czy kierdlowi nie grozi jakie niebezpieczeństwo.

grzmi na dole. Na pewnika, gdy chmury aż ku szczytom zdążą, będzie i tu burza, a może „fujawica“. Jakkolwiek było to w pierwszej połowie sierpnia, często w Tatrach się wydarza, że śród szalonego wichru sypie śnieg kilka godzin, co „fujawicą“ po miejscowemu się nazywa. Podobna fujawica i na halach zjawia się niekiedy. Juhasi po pewnych oznakach ją poznają i wtedy co tchu z trzodami do „bacówek“ uchodzą. I my z Jankiem ruszyliśmy z powrotem ku dołom, gdzie jak wiadomo z wierzchowcem juhasik nas oczekiwał.

— A jakim-że cudem ty i koń niezmoknięci?

— O, la Boga! alboż to ja dzisiejszy (a miał lat co najwięcej 18) — wyrzekł z dumą. Byłem pewny, że deszcz nadejdzie, bo gdym szkapę pasł, hajnok na „płatku“ poczena mucha ciąć biedactwo, że się aż pokładał. Toż skryłem się z nim w zagłębiu.

Deszcz ustał był zupełnie, tylko oślizła ziemia mocno utrudniała pochód i tak utrudniony mnóstwem spływających, niedługo trwałych, lecz gwałtownych potoczków. Zmienił się rodzaj panoramy. W około nas i dalej ku dołowi, t. j. ku halom i jak daleko zasięgnęło oko najzupełniejsza panowała pogoda, gdy przeciwnie górne warstwy gór, białe, śniegowe zaćmiły chmury, skrywając sobą i słońce tak, że jakkolwiek do zachodu słońca było jeszcze daleko, ziemię zaległ przedwczesny półmrok.

Nazajutrz zbudził mnie Janek przed wschodem słońca. Widok, jaki się oczom moim przedstawił, był najwspanialszy, jaki w życiu widziałem. Pobielone śniegiem wczoraj spadłym góry, przy blasku wschodzącego słońca lśniły jakby srebrne. Sterczące, ostro zakończone skały, do złudzenia podobne były wieżom i basztom jakiegoś zaklętego zamku.

— Źleś trafił Jasiu — mówi do mnie Janek — śniegu na turniach nasypało grubo, zanim zginie, przeminie i tydzień, a przed tem i niebezpiecznie aż tam zachodzić i nic nie zobaczysz. Nawet kozy w takiej porze schodzą aż na najniższe stopnie gór w pobliża hali, lub nawet na same hale. Dzikie one i płoche z natury, ale głód z powodu śniegiem zasypanych turni, robi je mniej bojaźliwemi. Wtenczas niejednokrotnie widują je juhasi w pobliżu owiec, gdy jeszcze psów przy nich nie ma, tych bowiem najwięcej się obawiają, choć zawsze przed nimi umknąć potrafią.

Gonienie głosem, czyli szczekanie psów, płoszy je bardzo tak, że aż w węgierskie zapędzają się góry, toż przy szałasach moich nie ma psów owczarskich wcale. Pies tam chyba potrzebny przy owcach, gdzie wilki nagabują trzody, a u nas na halach rzadko kiedy wilki w znaczniejszych bandach się pokazują, pojedyńczo zaś włóczące się basiory ubijają juhasi ze strzelb, w które się uzbrajają, wychodząc na odleglejsze lub tu owdzie krzakami zarośnięte hale.

Dzień następny minął mi na słuchaniu opowieści przygód Janka, których miał mnóstwo, częstokroć nawet bardzo groźnych.

Trzeci i ostatni dzień mojego pobytu na halach spędziłem na łowach na kozice, które, jak Janek naprzód był przewidział, głodem zmuszone, zeszły na niższe hale.

Juhasów — a było ich dziesięciu, co strzelać umieli — ściągnął Janek do swej rezydyalnej bacówki. Wszystko chłopaki jak świece, a każdy uzbrojony strzelbą. Do późna w noc przygotowywano się do wyprawy. Jedni lali kule, a drudzy gruby „siekaniec toczyli“, czyli wsypane na płytę kamienną drobne kawałki żelaza innemi kamieniami obrabiali, aby ostre i nierówne ich kanty wygładzić. Wesoło szła robota, bo i czarka niekiedy kolejką krążyła.

— Teraz, chłopcy, spać gdzie który usiadł — odezwał się Janek, — bo na łóżkach niema dla wszystkich miejsca, a skoro kur północ opieje, pójdziemy na zasiadki, bo trza mi koniecznie kozy. To Jasiu nie dla ciebie robota, pozostaniesz doma, a jutro skoro świt Walek (ów juhasik towarzysz) tam gdzie wie, ciebie zaprowadzi.

— Ależ ja chcę koniecznie pójść z wami. Janku, ja wytrzymam, ubiorę się dobrze — począłem protestować.

— Jasiu mój, nie dla was to mieszczuchów, połowę nocy przebyć na takiem jak u nas w górach zmiennem powietrzu; osobliwie gdy jeszcze od gór śniegiem pokrytych zimny jak lód wiaterek pociąga.

— Ależ — począłem błagać — kto wie, czy kiedy w życiu nadarzy mi się sposobność być w Tatrach... a ja koniecznie chcę widzieć kozice, których dotąd jeszcze nie widziałem.

— A no — rzekł wreszcie Janek — cóż mam robić; chyba cię wezmę.

Po północy wszyscy — a było nas trzynastu -- przy blasku księżyca poszliśmy ku najdalszym halom. Miejscami rosły krzaki kosodrzewia, w niektórych miejscach sterczały pojedynczo duże, zczerniałe od wiatrów i słońca kamienie. W takich kryjówkach poumieszczali się juhasi, żeby ztamtąd patrzeć nie nocnego wychodu kozic, tylko czekać pierwszych brzasków zorzy porannej, bo wtedy dopiero, skalistemi perciami ciągną kozice na żer ze swych szczytowych ostoi. Ja z Walkiem umieściliśmy się niby lisy w norze, pod jednym z takich „sterczaków“, jak je juhasi nazywają. Wąsko tam było i niezbyt wygodnie, osobliwie dla dwóch, ale zacisznie, bo na prawdę, choć nie silny, ale od szczytów świszczący wietrzyk, dobrze był zimny. Czekamy tedy — i mimo zakazu Janka pykamy fajeczki; przecież blaskowych nie spłoszy kozic. Mimo całej chęci czuwania, zasnęliśmy w końcu, aż zbudził nas huk strzału z poblizkiego stanowiska. Trzebaż było widzieć pospiech, z jakim rzuciliśmy się do wypełzania z tej podkamiennej nory. Pierwszy, niby węgorz wysmyknął się Walek; ja, zaplątawszy się w koc, bez którego Janek nie chciał mnie wziąć, uwiązłem u wyjścia, aż Walek, i to nie bez trudu mię wyciągnął. A tam, na dworze, przy czerwonem świetle zorzy, ujrzałem kierdel kozic, pomykających w góry. Na dziś i na długo, zdaniem Walka, polowanie na kozy przepadło.

— Ano — mówi — czy też co dostali?

Łysy Janek wlókł za nogę rocznego capka, a jeden z juhasów starą dużą kozę.

— A bodajcie — zawołał Janek — dyć przykazywałem wybierać capki. No, — dodał, dokładniéj oglądnąwszy zwierzynę — to „pyrka“ (tj. taka, która w tym roku nie miała jagnięcia), więc tłusta. Trza mi na prezent dla matki Jasia coś uczciwego, otóż i jest.

W czasie, w którym się to działo, o ustawach, szczegółowo baczących na ochronię kozic tatrzańskich, nie było jeszcze słychać.

Po dłuższym wypoczynku rzecze Janek:

— No, a teraz chłopcy pojedziemy na „Kociaszyn“, tam jarząbków co niemiara. A macie wabiki?

— A mamy — ozwą się prawie wszyscy.

Poszliśmy. Wszyscy rozeszli się po ścieżkach, których było gęsto wydeptanych przez owce śród zarośli jałowcowych. Począł się pisk wabików i strzały się odzywały. Walek wabił przy mnie; on nie miał strzelby, a ja strzelałem i chybiałem. Wstyd i rozpacz mnie ogarniała, a dobijała mię twarz Walka, wyrażająca szyderstwo. Aż naraz o jakie 20 kroków odemnie czesze ścieżynką pies owczarski, czy wilk.

— Wilk, la Boga! — szepcze Walek.

Składam się i palę. Wilk skoziołkował i został na miejscu. Śrót z powodu bliskości poszedł kulą i ugodził wilka w samą komorę. Walek narobił takiego krzyku i gwałtu, że wszyscy, nie wyjmując Janka, sądząc, że stało się jakie nieszczęście, co tchu przybiegli.

— A to ty bestyo! — zawołał niemal każdy juhas, zobaczywszy ubitego ogromnego wilka. Znali go, bo zawsze porwawszy owcę lub kozę wymykał się szczęśliwie.

— Nosił wilk, poniosą i wilka — wyrzekł Janek, przykazawszy wziąć zbója na drąg.

Jako tryumfator dnia tego, wróciłem do bacówki. Polowanie na jarząbki równie dobrze się udało, gdyż ubito ich szesnaście sztuk.

Wyznam otwarcie, że ze łzami w oczach opuszczałem nędzną bacówkę i jej gospodarza, łysego Janka. Przeczułem, że ni jego, ni Tatrów nie ujrzę więcej. Wieś ***, rodzinna matki mojej, ponownie w obce przeszła ręce, i nastąpił wieczysty już rozbrat z miejscem i ludźmi, których tak ukochałem. Prawdopodobnie i łysy Janek już nie żyje... A ktoby wiedział bliższe szczegóły jego żywota i czynów na polu myśliwstwa, przysłuży się braci w św. Hubercie, gdy o tem doniesie.

Krytyczna pora.

Przeminął błogi czas wiosennych rozkoszy, w którym to bór, gaj, lub lada zarośle „aż chodzi“ od wesołego śpiewu skrzydlatej rzeszy. Pełno tam gwaru, bo usadowione na konarach śpiewaki, od świtu do nocy; a nawet nocą, jak słowiki, chórem lub pojedynczo głośne wywodzą trele, coś niby hejnał na cześć Stwórcy. I na ziemi, wśród najzwartszej gąszczy o wiosennej porze pełno ruchu, od przebiegających parek miłośnych, szukających miłego asylu, lub zakątka do lęgu. Wszystko to przeminęło, bo nadeszła owa krytyczna dla skrzydlatej i nożnej zwierzyny pora — lato, ze swojemi skwarami i krótkiemi nocami. Cała przyroda, nawet z swym uzurpowanym królem, zda się spi. Głusza zapanowała w owych gwarnych przedtem gajach — zamilkły wesołe szczebioty, a wedle twierdzenia baśni ludowej o św. Wicie, Pan Bóg mówi:

„Wicie! — półziarnka w życie!“

Na to odpowiada Wit:

„Nie słyszę Panie Twoje wołanie;
Niech wpierw ptasia zgraja śpiewać przestanie!“

I jak raz o św. Wicie zamilka ptaszęca zgraja. Nawet:

„Na św. Wit
Słowiki — cyt.“

Tak twierdzi baśń ludowa. Inna jest jednak tej głuszy przyczyna. Skwary letnie i krytyczna dla ptaków pora — to pierzenie się, które właśnie w drugiej połowie miesiąca czerwca, lipca, a nawet w sierpniu przypada. Ptak śpiewak, nawet w klatce zamknięty, przechodzi ten krytyczny peryod — toż smutnieje i zamilka.

A zwierz nożny? Niemniej w tej skwarnej porze roku, upałem i suszą jakby odurzony, od oschnięcia rosy aż do zachodu słońca nie rusza z „barłoga“, legowiska, lub „ostoi“, które obrał w wilgotnej i chłodnej gąszczy leśnej. Tam mu bowiem ni „gzik“, lubiący miejsca słoneczne, nie dokuczy, a komary dopiero o zachodzie słońca na rozdobędę wyruszają. Słowem wszystka zwierzyna dzika, tak skrzydlata jak i nożna, wpada w pewien rodzaj senności, która w godzinach południowych, podczas największego skwaru do tego stopnia jest mocną, że stadko sarn, a nawet ostrożnych jeleni prędzej podejdziesz. Myśliwi na błotach, wiedzą o tej senności zwierzęcej, toż radzi w czasie skwaru największego polują, bo bekas lub dubelt najtwardziej w tej porze „dosiadują“, tak, że i bez wyżła, tylko na „deptaka“ spolujesz ich sporo.

Sarny i jelenie, o brzasku dnia na żer wyruszywszy, skoro tylko słońce dogrzewać poczyna, i „chmary“ owadów dokuczać im zaczną, co tchu uchodzą w ciemne gąszcze, dokąd owady im nie towarzyszą. A dodam, że „gzik bydlęcy“, to najsroższy trapiduch jeleniego, sarniego i w ogóle bydlęcego rodu. Oprócz, że krew wysysa, w dodatku w nakłute miejsce znosi swe jajka. Płód ten dojrzewa pod wpływem ciepłoty zwierzęcia, i objawia istnienie swoje w gęsto rozsianych po grzbiecie lub bokach zwierzęcia dużych, bolesnych guzach, przez myśliwych nazwanych „pestrakami“. Z guzów owych w miesiącu kwietniu lub maju wyłazi, „wygryza się“ robak często dużych rozmiarów. Skóra sarny, jelenia lub nawet bydląt, w tych miesiącach ubitych, jest prawie nie do użycia, pełna bowiem dziur, które powierciły „pestraki“.

Żerowanie, tak ważna kwestya w życiu zwierząt, śród skwarnych letnich miesięcy, od bardzo wczesnego ranka krótko w dzień, a od zachodu słońca długo w noc trwać zwykło. Wcześnie na wiosnę, w jesieni, lub w zimie, sarny i jelenie częstokroć i w czasie pełnego dnia żerujące napotkać można. Dni bowiem krótkie zmuszają je do szukania żeru, którego osobliwie śród ciemnej, księżycem nieoświetlonej nocy wyszukać, a co najgłówniejsze, od innych nieużytecznych, a często nawet szkodliwych ziół rozróżnić trudno. Przy wyborze bowiem żeru, oprócz węchu i wzrok ważną odgrywa rolę, a przeżuwacze nie mają daru jasnego widzenia śród ciemnej nocy.

Zwierz drapieżny równie śród skwarów letnich w porze dziennej, co czynią wilki i lisy, całkowicie nie rusza na żer. Wilki jesienią zwykły napadać pojedynczo pasące się konie, jałownik lub owce. Lisy „nypią“ po gęstych trawach lub zaroślach, napadając spiące w kotlinie zające. Latem ni pierwsze, ni drugie nie ruszają na zbójeckie wyprawy; wolą bowiem głód, niźli wstrętny skwar. Toż wilki oblegają w jarach, na ostrowach rzecznych, lub miejscach w pobliżu wody, którą, według wilczego rozumowania „że gdy żołądek nie nadziany, niech będzie przynajmniej nalany“, często gaszą pragnienie. Lisy wygodnej używają „siesty“ w chło-

dnych norach lęgowych, lub kryjówkach śród pól wygrzebanych. Za zbliżeniem się nocy dopiero wyruszają na połów śpiących kaczek dzikich, kuropatw i. t. p. Bo dobrze mykicie wiadomo, że zwierzyna skrzydlata zupełnie nic nie widzi z zajściem słońca.

Jednem słowem, w letnich miesiącach bez wyjątku wszystka zwierzyna łowna wiele ma niedogodności. Nie doje, przemarudza długi dzień, na poły drzemiąc, toż chudnie, a nawet, jak sarny, jelenie, zające, nierzadko zapada na chorobę pyskową, raciczną, śledziony lub żołądka (księgosusz). Dwom ostatnim podlegają i zające.

Nareszcie doczekały się jesieni. Już i dni krótsze, poranki, wieczory i noce chłodniejsze a dłuższe, bo miły nastał wrzesień, słusznie przez lud „maikiem“ przezwany. W nim to, skwarem słonecznym spalone trawy na nowo poczynają się zielenić, a zioła, osobliwie w górskich okolicach, po raz wtóry jak w maju zakwitają. Słowem, prawdziwy chłodnawo-ciepły i wilgotnawy maj. Nawet ptactwo, skończywszy pieleszę, zebrane w gromady, lub „chmary“, wraz z młodemi tu i tam przelatują. Toż i weselej, osobliwie w gajach i dąbrowach, gdzie strumyki się znajdują. Tam szczygły, czyżyki i t. p. drobne ptacwo hurmami przebywa. Nierzadko usłyszysz i śpiew, bo młode czyżyki i szczygiełki, przez ptaszników „parchutkami“ zwane, poczynają „zarywać“ nietyle wdzięcznym ile gwarliwym spiewem. Stare samce milczą zazwyczaj, bo niejednego trapi jeszcze pypeć, który zawdzięcza skwarnemu latu.

A myśliwy? I on rad, że się skończył ten czas „ogórkowy“, opatruje dwururkę i „rozjazd“, psom swym myśliwskim lepiej dogadzać poczyna — bo niebawem nadejdzie pora w kalendarzu myśliwskim biało oznaczona, więc

Budzi się w nim nadzieja,
Że strzałami huknie knieja.

A. Ubysz.

KORESPONDENCYE.

Kassel (nad Fuldą w Prusiech) 20. czerwca 1889.

(Z wystawy myśliwskiej i rybackiej.)

Piszę do was z niegłośnego zresztą miasta pruskiego, które dziś jest na ustach każdego niemieckiego myśliwca. Paryż roztoczył na placu Marsowem bogactwa różnych narodów i stref, wspaniałości rolnictwa, przemysłu, sztuk pięknych; Kassel wziął sobie za zadanie znacznie skromniejszy zakres, przedstawił oku jedynie zbiór przedmiotów, należących do myśliwstwa i rybactwa, lecz wybornie i dokładnie z zadania tego się wywiązał. Nad wystawą paryską stoi potwór żelazny, wieża Eiffel, która czołem swem przebija chmury i ztamtąd rzuca strugi elektrycznego światła — nad wystawą kasselską, w uroczym parku „Wilhelmshöhe“ panuje olbrzymi Herkules spiżowy, zwycięzca nemejskiej lwicy i erymantyjskiego odyńca, i nadaje cechę temu pysznemu obrazowi walk człowieka z dziką naturą, jaki przed oczyma widza kasselska wystawa roztoczyła.

Przedmioty wystawy rozmieszczono w tutejszym „pałacu oranżeryjnym“ i w dwóch wielkich halach. Jedna z tych hal, trzymana w stylu samego pałacu, jest dwuskrzydłową, przypiera do pałacu i zamyka wraz z nim z trzech stron wielki plac w pośrodku. Tu powiewają w około różnokolorowe flagi na wysokich masztach, ścielą się szmaragdowe trawniki z grupami prześlicznych kwiatów i krzewów, między któremi sarny i lisy z terrakoty, aczkolwiek dobrze naśladowane, daremnie starają się udawać naturę, a przy licznych stołach krzepią się goście wystawowi i kapela przygrywa im z wyżyn gustownie zabudowanej estrady. Tu i owdzie wdzięczą się ozdobne pawilony z rozmaitemi przedmiotami na sprzedaż, piękne diorama Alp, huśtawka, zwana tu nie wiedzieć dlaczego „rosyjską“ i t. d. Druga hala, leżąca po za głównym pałacem wystawy, poświęcona jest wyłącznie hodowli ryb i rybactwu.

Uwagę widza zwraca na siebie przedewszystkiem historyczny oddział łowiectwa, pomieszczony w środkowej ośmiokątnej sali pałacu oranżeryjnego. Ułożyli ją profesor Knackfuss i dr. Pinder ze smakiem i wzorową systematycznością. Począwszy od najpierwotniejszego łowiectwa aż do naszych czasów, zebrano tu w czternastu grupach całe dzieje myśliwstwa środkowej Europy. Rosochy rena i potężnego łosia, skamieniałe czaszki żubrów i olbrzymie skóry niedźwiedzie, dają wyobrażenie o tej łownej zwierzynie, którą jeszcze Juliusz Cezar jako głównych mieszkańców hercyńskich puszcz wylicza. Obok jest także wypchana głowa żubra z puszczy białowiezkiej, łącząc niejako zamierzchłe czasy z chwilą dzisiejszą. Ile siły, zręczności i odwagi trzeba było niegdyś do łowów na te potwory leśne, wskazuje najwymowniej zbiór broni z tej odległej epoki kamienia i bronzu. Są to częścią zabytki, pochodzęce z rozkopanych mogił, częścią podobizny, jak prawdopodobnie broń ta w komplecie wyglądała.

Następna grupa obejmuje epokę żelaza aż mniej więcej po rok 1100 po Chr. Oszczepem i buzdyganem, łukiem i strzałą, kordelasem, włócznią i mieczem godził już wówczas człowiek na grubego zwierza. Pewne komplety zbroi okazalszej z tego czasu, jak n. p. broń myśliwska króla frankońskiego Hilderyka (zm. w r. 481), róg Karola W. z słoniowej kości i t. p. są tu przedstawione w wiernych podobiznach. O sposobie użycia broni i w ogóle odbywania łowów pouczają rysunki i szkice całych scen.

Grupy 3. i 4. okazują już znaczny postęp w uzbrojeniu myśliwego. Górę bierze kusza, a w wykonaniu jej podziwiać należy niesłychanie wiele zmyślności i sztuki; znajdujemy na niej najwspanialsze ozdoby snycerskie, a częstokroć wykładania z kości słoniowej lub nawet drogich kamieni. Tu pojawiają się po raz pierwszy przybory sokolnicze. Polowanie z sokołami staje się myśliwską rozrywką możnych. Jakoż, począwszy od białozora, ustawiono tu w wypchanych egzemplarzach wszystkie te gatunki sokołów, które do polowania z sokołami były używane. Oprócz tego, na dowód, że nie zaniedbywano także myśliwstwa na grubą zwierzynę, a lubowano się szczególnie w pościgach na koniu, wiszą duże oszczepy i koncerze.

Grupa 5. daje nam obraz myśliwstwa z epoki wczesnego renesansu. Tutaj kusza zyskuje jeszcze większe wzięcie i staje się niemal jedyną bronią myśliwską. Wchodzące już w życie samopały prochowe, z powodu swej ciężkiej konstrukcyi nie nadawały się zrazu do celów łowieckich. Liczba grubszego zwierza po lasach zmniejsza się bardzo. Szczególniej na łosia polują z zawziętością, bo utrzymuje się przesąd, że kaftan łosiowy zabezpiecza od kul broni palnej. Wzmagająca się kultura przyczynia się również do tępienia drapieżców, szczególniej wilka i rysia, które dotąd znacznie grasowały. Do szlachetnego rzemiosła łowieckiego przybywa jeszcze jeden dział: łowy górskie, do których wznieca zamiłowanie szczególniej cesarz Maksymilian I. (zm. 1519). łowiec namiętny i odważny.

W r. 1517. wynaleziono w Norymberdze zamek z kółkiem zębatem i skałką do samopałów. Do podpalania prochu nie potrzeba było lontu. To dozwalało łatwiej zastosować broń palną do celów łowieckich i odtąd wypiera ona też kuszę z knieci. Formy broni palnej zaczynają się mnożyć i stawać coraz praktyczniejsze. Ale też do końca późnego renesansu, tj. do r. 1650. (grupa 6. wystawy) został grubszy zwierz żubr, łoś, jeleń prawie zupełnie wytępiony.

W grupie 7. zestawiono wiek baroku po koniec r. 1720. Broń skałkowa doznała już w tym czasie znacznych ulepszeń jako broń łowiecka. Przybory, sposób urządzania łowów i uzbrojenie łowieckie Francuzów stają się przykazaniem i modą dla całej Europy. Panuje dążenie, ażeby zmniejszyć o ile możności trudy łowiectwa i uczynić je rozrywką przyjemną. Jeszcze bardziej występuje ta dążność w epoce rococco (1775). Na odyńca nie idzie już myśliwy z kordelasem w ręce, lecz strzela do niego z bezpiecznej trybuny. Łowiectwo przekształca się z rycerskiego rzemiosła w zabawkę dla wystrojonych szarmantów. Idzie bardziej o ubiór i o śniadanie myśliwskie, niż o same łowy. Z bronią więcej ma do czynienia snycerz i złotnik, niż puszkarz. Łowy w wielkim stylu nikną, o forsowaniu szlachetnej zwierzyny konno nie ma już prawie mowy, polowanie z sokołami zarzucono zupełnie.

Na tem kończy się wystawa historyczna ośmiokątnej sali pałacu oranżeryjnego. W dalszych salach następują różne działy odnoszące do nowożytnego myśliwstwa. Lecz i tu — szczególniej w różnych gatunkach broni, która jest bardzo bogato zastąpioną — mamy niejako dalszą ilustracyę historycznego rozwoju myśliwstwa.

Najrozmaitszych rosochów i rogów całe lasy, a szczególniej przedziwne i bardzo ciekawe myłkusy. Podziw każdego zwiedzającego budzą rogi jelenia o 46 końcach a ważące 550 funtów! Kolos jelenia, który te rosochy dźwigał, padł w roku 1736. pod Koburgiem. Do rzadkości należy także para rogów, tak szczególnie ze zobą splątanych, że je niepodobna rozdzielić. Znaleziono je na rykowisku, gdzie dwa walczace ze sobą jelenie padły, a nie mogąc się już rozerwać, zginęły marnie pod zębami drapieżców. Mówi o tem umieszczony u dołu „knittelwers“ niemiecki z dawnych czasów. Osobliwości podobnych jest dużo, boć przecież w wystawieniu ich, oprócz pruskiej rodziny królewskiej, wzięło udział 32 różnych książąt, oraz wiele zbiorów prywatnych i publicznych.

Literatura łowiecka, szczególniej niemiecka, bogato jest zastąpioną; widzimy tam pyszne wydania z różnych wieków, istne białe kruki. O mnogości zwierząt łownych w stanie wypchanym, tak pożytecznych jak szkodliwych, czy to ssaków, czy ptactwa, nie ma co i wspominać; są one i przedmiotem wystawy i jej ornamentem. Między specyalnemi naukowemi zbiorami uderza zaś wystawiony w gablotkach oszklonych, podobno po raz pierwszy obecnie, zbiór pomiotów (kałów) różnych zwierząt. Dla myśliwego ma on niewątpliwie znaczną wartość praktyczną. Wystawiła go leśna akademia w Münden.

W głównym pawilonie myśliwstwa nowożytnego spotykamy bardzo bogate przybory i trofea myśliwskie rozmaitych narodów. Szczególniej w rotundzie cesarskiej są one malowniczo rozmieszczone. Dalej mamy już systematyczne zbiory broni palnej najrozmaitszych systemów, broni białej, amunicyi, sideł i paści na zwierzęta drapieżne, począwszy od kuny aż do lwa i tygrysa. Następnie widzimy różne i praktycznością i zbytkiem odznaczające się ubrania myśliwskie aż do najdrobniejszych przyborów, urządzenia komnat łowieckich, a między tem pyszne pejzaże i sceny łowieckie, przyrządy do dresury psów i t. p. W broni zbytkowej są szczególniej skarby, nie mające dziś prawie ceny. Taki Laon i Bourgeois paryski, taki Berselli z Bolonii, Freemann z Londynu, Munier z Genewy, Kuchenreiter z Norymbergi, Ries z Wiednia i inni sławni mistrze złożyli się na te pyszne okazy.

Na lewo od rotundy jest duża sala zapełniona przedmiotami, należącemi do sportu konnej jazdy, powożenia, wioślarstwa, łyżwiarstwa i dla turystów alpejskich, dla szermierzy i gimnastyków. Trochę tego wszystkiego za pełno, a wystawcy prześcigają się w pomysłach, aby swój wyrób zalecić. I tak n. p. jeden z siodlarzy zawiesił prześliczne siodło na nitce, aby lekkość jego okazać, inny zaś, chcąc zalecić nieprzemakalność swego „lodenu“, rozpiął go tuż pod wodotryskiem, który na „loden“ ciągle tryska i nie może go przemoczyć... Pomiędzy tem wszystkiem krążą liczni wyznawcy Nimroda i św. Huberta, a że upały nieznośne, więc co chwila zaglądają do restauracyi, gdzie trunek Gambrynusa leje się strugami.

Poza restauracyą urządziła kasselska sekcya niemiecko-austryackiego Towarzystwa alpejskiego piękną dioramę górską. Wszedłszy do rodzaju alpejskiej koszary, masz przed sobą prześliczne widoki górskie, szczyty z lodnikami i lawinami, utwór prof. Kolitza, dyrektora tutejszej szkoły sztuk pięknych.

Hala dla sportu rybackiego odznacza się wielką mnogością przedmiotów i świadczy o znacznym postępie, jaki racyonalne rybactwo w ostatnich latach uczyniło. Cała ta wystawa podzielona jest na pięć następujących grup: 1. ryby i raki, żywe okazy, preparaty, ryciny, literatura fachowa; 2. ryby rzeczne i morskie, suszone, wędzone, marynowane i w ogóle do spożycia przysposobione; 3. rybackie przybory i odzież rybaków w modelach i rysunkach; 4. sztuczna hodowla ryb, wylęgalnie, przyrządy transportowe itp.; 5. nieprzyjaciele ryb i sposoby chronienia się od nich lub tępienia.

Liczne akwarya, liczne potoki i wodotryski czynią tę część wystawy wcale okazałą, a przytem i... chłodną, co na upały letnie wcale nie jest obojętnem. Z po za szkieł akwaryów przypatrują się temu wszystkiemu stuletnie karpie, obszarpane weterany rodu rybiego, a niektóre już i patrzeć się nie mogą, bo prawie oślepły z starości.

Pomiędzy przyrządami rybackiemi wystawił bardzo wiele ciekawych przedmiotów miłośnik rybactwa i protektor wystawy, książę Henryk, brat cesarza Wilhelma. Pod względem etnograficznym jest ta wystawa wielce ciekawą, obejmuje bowiem tysiące sposobów łowienia na wodach lądo-

wych i morskich, począwszy od najpierwotniejszych przyborów dzikich plemion aż do najwyrafinowańszych instrumentów, jakie najnowszy sport rybacki powymyślał.

Sposób działania pewnych przyrządów rybackich, szczególniej przy połowach na pełnem morzu, przedstawiony jest zmyślnie w kształcie małych modeli. Widzimy n. p. mały „kutter“, który wlecze za sobą sieć olbrzymią, zagłębiającą się aż na dno morza. Zmiata ona wszystko, co w drodze napotka, ryby, raki morskie, muszle, korale — istna miotła morska.

Obfitość wody dozwoliła wylęgalnie w ten sposób uzmysłowić, że dano ci przed oczy cały proceder dojrzewania jaja aż do wylęgnięcia się rybki i zupełnego jej wykształcenia. Wymaga to wszystko wielkiej czujności, czystości i staranności, a i tak ogromny procent narybku odpada, nim dojdzie do wieku, w którym może być do zarybienia wód użytym.

W kilka dni po otwarciu wystawy odbywała się tu w ciągu tygodnia wystawa psów myśliwskich. Jak ciekawe i cenne były okazy, dość wam powiedzieć, że jednego szkockiego psa owczarskiego ceniono na 1.000 marek, a królem wystawy był chart, za którego właściciel żądał ni mniej ni więcej tylko 25.000 marek.

Od kilku dni urządzono tu strzelnice do próbowania różnych systemów broni palnej, szczególniej do strzelania śrótem. Są ku temu sporządzone wszelkie możliwe siłomierze, tak co do rozrzucania śrótu, jakoteż siły uderzania i przebijania wystawionych na strzał przedmiotów. Technicznymi kierownikami tych próbnych strzelnic są pens. majorowie Thiel z Karlsruhe i v. Wedell z Kasselu.

Dnia 14. b. m. zwiedzał wystawę gość niezwykły. t. j. szach perski Nasr-Edin. Oczywiście Niemcy, a jeszcze bardziej Niemki tłoczyły się tłumnie, ażeby czarnobrewego władcę Persów ujrzeć. Wystawa zajmowała go bardzo, szczególniej broń, i żałował, że gdyby był wiedział, to byłby swojemi trofeami i bronią wystawę zasilił. Wobec oglądających go pań był uprzejmym, lecz w jednej z sal dopuścił się żartu, który napełnił je strachem, a na usta Nasr-Edina pusty śmiech wywołał. Wziął mianowicie ze zbiorów księcia Koburgskiego piękną, starą strzelbę i zmierzył się z niej do najmłodszych kobietek. Powstał popłoch — strzelba kłapła, gdyż była oczywiście nienabitą — i na tem żart się skończył.

Szach nabył na wystawie z bawarskiego oddziału cztery piękne obrazki olejne, przedstawiające różne sceny z życia zwierząt.

Wystawa trwać będzie do końca września, a zapowiadają jeszcze dużo ciekawych uroczystości, które się tu odbędą. I tak: będzie uroczyste zgromadzenie powszechnego niemieckiego Towarzystwa ochrony łowieckiej, wyścigi konne, festyny gimnastyków i klubu wioślarzy na Fuldzie i t. d. Kassel staje się zatem w tej chwili przedmiotem wycieczek dla Niemców, a wabi także z dalszych okolic miłośników myśliwstwa i rybactwa. *B. Z.*

Z pod Bereh (pow. liski) w czerwcu.

(Polowanie na dzika.)

Przyjmijcie tę spóźnioną lecz zato ciekawą relacyę z łowów na dzika, które wyprawiono w tutejszej kniei rządowej w Bandrowie.

Leśniczy Laszkiewicz i leśny Frombach, wytropiwszy wielkiego dzika, wzięli kilku myśliwych i otoczywszy go poczęstowali czterma trafnemi kulami. Lecz dzik nie padł, a że śnieg był wielki, znikł im wkrótce z oczu. Było to już pod wieczór, myśliwi odłożyli zatem dalsze polowanie na następny dzień.

Nazajutrz zebrali się znowu, wziąwszy kilku poganiaczów i zarządzili tak, ażeby nagonka dzika krzykiem na myśliwych naganiała, leśny Frombach zaś miał ustawić myśliwych i sam iść za tropem z dnia poprzedniego. Zaledwie jednak uszedł parę kroków naprzód, wypadł niespodziewanie dzik na sztych jednym susem i rzucił się na Frombacha tak, że ten, trzymając strzelbę pod ramieniem, zaledwie miał czas kurek naciągnąć i jednym strzałem w głowę go ugodzić. Lecz niestety, i ten strzał nie był śmiertelny, a dzik, sadząc z całą wściekłością, przewrócił Frombacha i wziął go tak pod siebie, że mu i strzelbę gwizdem z rąk do śniegu wyrzucił, a nie mogąc go w dużym śniegu kłem pruć, deptał tylko nieszczęśliwego, wreszcie chwycił go za rękę i jednem ściśnięciem mały palec od lewej ręki odgryzł. Frombach krzyczał do towarzyszy: „Na litość! strzelajcie!“ Przerażony Laszkiewicz i jeszcze jeden z myśliwych, przyskoczyli i strzelili, pierwszy kulą po za ucho, a drugi lotkami. Dzik padł wprawdzie tym razem, lecz strzały poszły tak nieszczęśliwie, że biedny Frombach niedosyć, że stracił palec od rozjuszonego dzika, lecz nadto jedna lotka przeszyła mu na wskróś dłoń tej samej ręki. Nieszczęśliwy musiał 6 tygodni odleżeć, gdyż okara 200-kilowej wagi tak go potratowała, że się ruszyć nie mógł. A nie była mu pierwszyzna, bo to myśliwy dobry i niejednego dzika już uśmiercił.

Operacya zaś palca tak gładko poszła, że niejeden chirurg mógł był do owego dzika chodzić na praktykę. *J. W.*

Warszawa d. 13. czerwca.

(Towarzystwo łowieckie.)

Wczoraj wieczorem, w sali posiedzeń na dworcu kolei wiedeńskiej odbyło się pierwsze ogólne zebranie znanego nam już z swej organizacyi warszawskiego Oddziału Towarzystwa racyonalnego myśliwstwa.

Przedewszystkiem zaproszono na członka honorowego głównego naczelnika kraju, a potem zajęto się balotowaniem 492 nowych członków, z pomiędzy których zakwestyonowano tymczasowo zapisanie 26-ciu. Czynność balotowania zabrała kilka godzin czasu, po ukończeniu zaś jej z kolei roztrząsano wniosek przyjmowania członków amatorów, którzyby płacili rocznie 6 rs, bez przyjmowania udziału w zebraniach. Wniosek ten został odrzucony.

Na liście przyjętych członków przeważają ziemianie i przedstawiciele sfer urzędniczych i wojskowych. Zdecydowano, że na członków Towarzystwa przyjmować można także damy. Członkowie rzeczywiści płacą wkładki rocznej 12 rs., a wpisowego 10 rs.

Zarząd Towarzystwa traktuje obecnie o wynajęcie lokalu w b. pałacu Blanka przy ul. Senatorskiej, a nadto zamierza urządzić jeszcze w końcu bieżącego miesiąca konkurs strzelniczy. Konkurs odbędzie się w strzelnicy p. Sulistrowskiego na Nowym Świecie. Warunki jego ogłoszone zostaną później.

Dowiaduję się, że i w Radomiu powstał projekt założenia Towarzystwa myśliwskiego, celem racyonalnego prowadzenia łowów i ochrony zwierzyny przed kłusownikami. *K. W.*

Wykaz zwierzyny, ubitej w ciągu r. 1888.

zestawiony na podstawie dat urzędowych przez G. LETTNERA, radcę lasowego.

Powiat	Zwierzyna pożyteczna																Zwierzyna szkodliwa												
	Jelenie	Daniele	Sarny	Dziki	Zające	Króliki	Głuszce	Cietrzewie	Jarząbki	Bażanty	Kuropatwy	Przepiórki	Słonki	Kszyki i dubelty	Dzikie gęsi	Dzikie kaczki	Niedźwiedzie	Wilki	Rysie	Lisy	Kuny	Tchórze	Wydry	Żbiki	Borsuki	Orły	Puhacze	Jastrzębie, krogulce kobuzy i i.	Sowy
1. Biała	5	.	31	2	901	.	15	.	.	16	363	58	86	42	4	.	.	.	.	39	1	.	.	.	.	1	.	83	1
2. Bóbrka	2	4	127	17	417	.	.	.	.	6	.	150	546	72	122	156	.	.	.	185	6	10	6	.	19	5	13	129	2
3. Bochnia	.	.	119	.	893	.	.	.	.	.	110	34	25	23	.	34	.	.	.	84	7	4	.	.	3	1	.	40	4
4. Bohorodczany	.	.	21	14	315	.	2	.	106	.	210	400	45	60	10	.	.	.	1	65	1	1	2	.	2	.	15	30	17
5. Borszczów	.	.	86	12	2400	.	.	.	.	.	130	3000	98	36	2	56	.	3	.	94	14	9	.	.	20	22	13	860	.
6. Brody	.	.	56	8	185	.	.	1	3	.	30	72	21	308	1	130	.	1	.	65	3	7	5	1	3	7	.	170	16
7. Brzesko	.	.	56	2	859	.	.	57	112	.	.	152	1	.	.	50	.	.	.	91	.	2	.	.	.	.	.	77	6
8. Brzeżany	.	.	44	4	351	.	.	.	.	.	36	280	66	283	79	533	.	.	.	146	4	5	8	3	.	3	3	106	46
9. Brzozów	.	.	24	6	270	.	.	.	12	.	.	318	64	.	.	52	.	.	.	48	12	17	.	.	.	.	.	18	12
10. Buczacz	.	.	80	35	650	.	.	.	.	12	.	380	55	365	.	510	.	.	.	75	12	.	12	.	10	6	4	75	12
11. Chrzanów	42	3	77	3	2653	.	10	16	.	128	664	122	26	10	.	70	.	.	.	77	6	13	.	.	.	1	.	194	.
12. Cieszanów	.	.	70	20	400	.	.	.	4	.	100	400	20	180	8	200	.	5	.	180	20	15	20	.	9	10	.	120	20
13. Czortków	.	.	100	42	1000	.	.	.	.	.	260	450	80	200	.	100	.	7	.	90	3	4	.	.	2	5	1	330	20
14. Dąbrowa	.	.	8	.	340	.	.	.	.	.	41	316	4	40	.	40	.	.	.	45	.	.	.	.	.	.	.	.	.
15. Dobromil	.	.	141	35	179	.	.	.	32	.	.	109	49	.	32	.	.	.	9	57	23	.	2	.	.	14	9	54	17
16. Dolina	5	.	145	76	189	.	.	.	169	.	.	.	41	.	1	13	2	.	1	88	9	3	5	1	2	1	2	10	.
17. Drohobycz	.	.	185	24	230	.	.	2	45	.	64	120	60	270	2	150	1	2	.	112	5	3	2	.	12	3	2	66	6
18. Gorlice	.	.	14	.	85	.	.	.	11	.	65	125	18	.	.	3	.	2	.	15	5	6	.	.	.	.	.	12	.
19. Gródek	.	.	61	8	310	.	.	.	.	.	17	160	22	150	2	190	.	.	.	47	1	.	.	.	.	.	4	29	.
20. Grybów	.	.	15	2	180	.	.	.	.	.	25	10	2	.	.	2	.	.	.	7	.	.	.	.	.	.	.	2	.
21. Horodenka	.	.	46	18	475	.	.	.	.	.	8	130	19	.	67	230	.	.	.	140	.	.	.	.	9	4	7	65	80
22. Husiatyn	.	10	80	9	796	.	.	.	.	43	56	220	57	220	6	80	.	5	.	75	13	20	.	.	10	3	2	41	20
23. Jarosław	.	.	95	12	1040	.	.	.	.	4	210	320	38	130	15	130	.	3	.	96	5	.	3	.	.	3	.	240	4
24. Jasło	.	.	17	38	957	.	.	.	.	.	115	930	280	.	.	90	.	.	.	320	12	.	.	.	.	.	.	21	12
25. Jaworów	.	.	108	4	398	.	.	.	3	5	89	317	63	152	2	243	.	.	.	120	5	2	4	.	3	2	13	115	.
26. Kałusz	12	.	57	32	205	.	8	23	41	.	56	140	26	23	.	14	.	4	2	54	.	.	3	2	.	2	.	13	2
27. Kamionka	.	.	137	38	478	.	.	36	11	.	418	295	204	578	3	716	.	2	.	250	9	23	6	.	8	7	.	438	42
28. Kolbuszowa	.	.	50	.	326	.	.	.	20	.	.	240	.	126	.	134	.	.	.	40	.	18	.	2	.	.	.	22	2
29. Kołomyja	.	.	50	21	1050	.	13	.	83	.	250	700	100	35	.	140	.	.	.	54	.	.	.	.	.	.	6	90	15
30. Kossów	.	.	42	18	312	.	26	10	140	.	52	20	60	22	5	42	.	2	.	47	41	13	9	5	12	3	9	20	6
31. Kraków	6	.	28	.	320	.	.	8	.	24	214	140	24	62	.	12	.	.	.	8	3	3	2	.	2	.	.	38	.
32. Krosno	.	.	31	42	343	.	.	.	3	.	24	327	30	43	.	18	.	.	.	61	.	.	.	.	3	.	.	28	2
33. Łańcut	.	6	82	3	1113	.	.	.	.	82	79	450	32	411	1	34	.	1	.	144	8	10	9	.	7	4	.	250	4
34. Limanowa	.	.	30	15	400	.	.	32	20	.	48	110	80	.	.	14	.	.	.	40	.	.	4	.	19	.	.	12	.
35. Lisko	3	.	80	16	250	.	.	.	50	.	50	250	20	10	.	15	1	1	1	40	5	4	6	.	5	5	.	100	.
36. Lwów	.	.	160	.	560	.	.	.	.	.	150	300	260	70	.	540	.	.	.	90	10	.	.	.	.	5	80	200	280
37. Mielec	.	.	74	28	802	.	1	.	30	.	252	329	31	3	3	130	.	.	.	82	5	.	2	.	8	.	8	103	.
38. Mościska	.	.	141	17	510	.	.	.	.	.	304	730	115	148	12	458	.	10	.	182	49	40	17	.	.	.	42	193	115
39. Myślenice	.	.	47	8	200	.	.	.	.	.	120	110	150	.	20	40	.	.	.	64	.	.	.	.	.	.	.	.	.
40. Nadwórna	3	.	101	27	375	.	20	7	115	.	37	151	76	17	1	6	.	.	4	67	8	7	1	.	5	3	2	56	.
41. Nisko	3	6	182	39	623	.	2	15	9	4	38	160	58	2	86	1711	.	.	.	248	5	2	.	.	5	16	.	203	.
42. Nowy Sącz	.	.	25	6	301	.	.	.	.	.	200	240	20	6	2	40	.	2	1	60	4	20	5	.	8	.	.	10	2
43. Nowy Targ	.	.	15	4	93	.	.	.	.	.	32	20	.		.	8	.	.	.	.	2	.	3	2	.	1	.	5	.
44. Pilzno	.	.	27	5	363	.	.	.	.	.	134	290	.	102	.	52	.	.	.	205	13	24	.	.	.	.	.	65	115
45. Podhajce	.	.	72	18	757	.	.	.	.	.	385	159	105	102	17	102	.	.	.	120	.	9	.	17	3	9	.	108	23
46. Przemyśl	.	.	155	12	320	.	.	.	24	12	680	1100	48	220	.	160	.	.	.	145	12	8	4	.	6	.	8	84	25
47. Przemyślany	.	.	40	8	750	.	.	.	10	.	.	500	80	600	2	100	.	.	.	60	.	10	2	.	4	2	20	10	.
48. Rawa	.	.	184	26	990	1	.	8	10	.	182	1167	147	1435	25	513	.	4	.	201	8	9	15	.	31	8	8	208	38
49. Rohatyn	.	.	91	72	.	.	.	.	9	.	.	219	81	145	24	181	.	.	5	151	21	10	31	4	9	5	7	56	83
50. Ropczyce	.	.	44	10	450	.	.	.	.	.	70	60	10	.	.	20	.	.	.	50	13	4	2	.	.	.	.	8	6
51. Rudki	.	.	84	12	323	.	.	.	.	.	56	304	3	8	.	66	.	.	.	90	.	.	1	.	.	.	.	36	.
52. Rzeszów	.	.	85	14	2500	.	.	.	40	.	260	1500	140	280	6	400	.	.	.	400	10	8	5	.	7	12	.	400	70
53. Sambor	.	.	130	12	300	.	.	.	.	.	150	300	50	500	.	300	.	.	.	120	25	30	10	.	15	.	.	60	30
54. Sanok	.	.	24	10	250	10	.	.	.	.	60	100	40	10	.	40	.	.	1	60	15	4	2	.	4	.	2	1	4
55. Skałat	.	.	79	8	1115	.	.	.	.	.	60	300	41	254	2	398	.	7	.	60	6	15	.	.	10	2	.	26	5
56. Sniatyn	.	.	7	1	510	.	.	.	.	.	28	600	40	360	.	150	.	.	.	50	10	.	.	1	5	.	1	18	6
57. Sokal	.	.	71	59	295	.	.	3	4	.	48	250	282	119	.	102	.	8	.	62	6	.	3	.	2	5	.	112	6
58. Stanisławów	.	.	27	3	470	.	.	15	12	.	69	397	78	320	3	175	.	.	.	43	.	.	.	2	6	3	7	72	43
59. Staremiasto	.	.	13	22	250	.	.	.	.	.	.	86	95	.	5	27	3	10	.	30	13	21	2	.	.	.	3	6	8
60. Stryj	.	.	172	47	766	.	1	13	122	.	161	634	111	124	4	241	3	.	3	205	15	13	13	1	48	23	9	290	19
61. Tarnobrzeg	.	.	93	23	967	.	.	.	.	34	276	421	107	.	12	352	.	.	.	84	37	.	18	.	23	.	9	120	.
62. Tarnopol	.	.	12	.	645	.	.	.	.	30	128	979	91	724	2	686	.	3	.	78	12	.	.	.	.	.	5	39	8
63. Tarnów	.	.	50	12	690	.	.	.	10	.	250	220	90	55	.	160	.	.	.	20	5	.	12	.	.	.	.	.	.
64. Tłumacz	.	.	74	20	902	.	.	.	2	.	195	482	54	124	3	251	.	.	.	208	6	42	2	.	7	96	34	83	29
65. Trembowla	.	.	27	.	160	.	.	.	.	.	50	390	54	37	2	84	.	.	.	50	.	.	.	.	5	.	70	149	19
66. Turka	.	.	20	.	100	.	.	.	60	.	.	23	.	.	.	.	2	.	.	40	.	.	30	.	.	.	.	.	.
67. Wadowice	.	.	41	.	2011	.	.	.	.	199	510	183	142	732	.	448	.	.	.	50	66	121	.	.	2	.	.	72	.
68. Wieliczka	.	.	20	6	1100	.	.	3	.	.	230	70	15	60	.	45	.	.	.	60	3	25	.	.	.	.	11	30	8
69. Zaleszczyki	.	.	109	14	1066	.	.	.	.	.	289	776	75	13	.	41	.	.	.	139	.	.	.	.	.	17	9	132	4
70. Zbaraż	.	.	35	1	400	.	.	.	.	.	40	500	100	250	15	300	.	3	.	50	30	.	.	.	.	.	.	50	40
71. Złoczów	.	.	135	5	1200	.	.	.	3	.	370	1100	280	870	.	600	.	.	.	130	8	.	2	.	9	.	10	30	20
72. Żółkiew	.	.	50	8	235	.	.	10	5	.	221	510	30	267	.	198	.	4	.	75	.	.	.	.	.	2	.	160	.
73. Żydaczów	.	.	90	15	185	.	.	.	.	.	.	180	60	90	10	300	.	.	.	80	10	.	6	.	7	1	.	35	10
74. Żywiec	.	.	183	20	684	.	2	.	1	.	98	6	3	1	.	6	.	.	.	105	26	13	8	.	4	1	.	432	4
Razem	81	29	5382	1169	45488	11	100	259	1331	599	9917	27091	5524	11909	618	13632	12	89	28	7113	686	627	304	41	393	323	448	7560	1388

KRONIKA.

Komitet wystawy łowieckiej w Wiedniu, mającej stanowić osobny dział na wystawie rolniczo-leśnej w roku 1890., składają następujące osoby: Hr. Hugo Abensperg-Traun, w. łowczy cesarski, Franciszek Nadasdy, przewodniczący węg. Tow. łowieckiego i hr. Franciszek Colloredo-Mannsfeld tworzą prezydyum. Do komitetu zostali powołani: hr. Geza Andrassy, hr. Antoni Arco-Valley, Edmund Bochner z Berna, Wendelin Böheim, hr. August Breunner-Enkevoirth, Ludwik Dimitz, ck. nadzorca lasowy, Albert Dommes, c. k. nadradca lasowy, hr. Włodzimierz Dzieduszycki, hr. Tassilio Festetics, ks. Emil Fürstenberg, Józef Fux, malarz, fmp. hr. Gravenitz, hr. Ferdynand Hompesch, hr. Józef Hoyos, hr. Franciszek Lamberg, Edward Lemberg, c. k. radca lasowy, Chrystyan Lippert, c. k. radca ministeryalny, bar. Ernest Laudon, Rudolf Markowsky, sekr. Tow. myśl. niż.-austr., hr. Włodzimierz Mittrowsky, bar. Mustazza z Czerniowiec, Franciszek Pausinger, malarz, hr. Erwin Schönborn, ks. Karol Schwarzenberg, ks. Jan Schwarzenberg, bar. August Schwarz, ks. Kamillo Starhemberg, hr. Paweł Szechenyi, hr. Samuel Teleki, Franciszek Thill, fabrykant broni, hr. Franciszek Thun-Hohenstein, ks. Karol Trauttmannsdorf, hr. Hans Wilczek, ks. Hugo Windischgrätz, hr. Leon Wurmbrand i hr. Edön Zichy. Program wystawy ma być wkrótce ogłoszony.

W Lincu odbędzie się w dniach 11. i 12. września b. r. wystawa psów myśliwskich i zbytkowych.

Wydział krajowego Towarzystwa rybackiego zamianował delegatami swymi ks. Tomasza Pociłowskiego, proboszcza rz. kat. w Łącku na powiat Nowo-Sądecki, i ks. Leonarda Soleckiego, proboszcza rz. kat. w Brzeżanach, na powiat Brzeżański. Zadaniem delegatów jest otaczanie opieką rybactwa krajowego i czuwanie nad tem, aby ryby w czasie ochronnym nie były łapane, w innym czasie zaś nie były łowione lub tępione w sposób niedozwolony. Byłoby bardzo pożądanem, aby ludzie dobrej woli, kraj miłujący, zgłaszali się sami do wydziału Towarzystwa rybackiego z chęcią przyjęcia obowiązku delegata, gdyż tylko przez ustanowienie na każdy powiat delegata wydział Towarzystwa może skutecznie rozszerzyć działalność swoję ku ochronie ryb i rozwojowi rybactwa krajowego skierowaną.

Zbiory przyrodnicze arcyksięcia Rudolfa przepatrzył intendent nadwornego muzeum w Wiedniu, Hauer, i rozdzielił je na cenniejsze i mniej wartościowe, poczem częściowo rozesłano wszystkie okazy rozmaitym zakładom naukowym. Rogi zwierząt, upolowanych przez arcyksięcia, wzięło muzeum nadworne, minerały akademia rolnicza, 507 wypchanych zwierząt instytut geologiczno-paleontologiczny. Prócz tego zasilono jeszcze zbiory kilku szkół średnich.

Pasterz różowy. Książę Ferdynand Koburski, panujący Bułgaryi, doniósł telegraficznie pod d. 12. czerwca br. dr. A. B. Mayerowi, dyrektorowi królewskiego muzeum zoologicznego w Dreźnie, że od kilku dni, w okolicach Kniażewa, o pół mili od Sofii, zapadło na polu kamienistym olbrzymie, tysiące ptaków liczące stado Pasterza różowego (*Pastor roseus* L.). Ptaki były bardzo wychudzone i zmęczone a obsiadłszy krzewy i kamienie, pokryły istnym dywanem czarno-różowym całą okolicę. Księciu powiodło się kilka żywo upierzonych samców ubić. Od r. 1876. nie było tam widać pasterzy różowych, i przelot tego ptaka o tej porze był niespodziewany. Ptak ten, przebywający nad dolnym Dunajem i w Azyi, zapędza się czasem i do Europy. Ostatni raz widziano go w r. 1884. w Bawaryi i Wirtembergu, a w r. 1886. znowu w Bawaryi. U nas był szczególnie częstym zjawiskiem w r. 1875 Muzeum im. Dzieduszyckich posiada 15 egzemplarzy pasterza różowego, ubitego w maju owego roku i to z rozmaitych okolic. Są także okazy ubite w latach 1865. i 1877. Prosimy przyjaciół naszego pisma, ażeby zwracali uwagę, czy i tego roku pasterza różowego u nas nie widziano, lub czy się jeszcze teraz gdzie nie pojawi.

Wystawy gołębi w Rosyi. W ros. ministeryum wojny, jak donoszą dzienniki, powstał projekt urządzania w miastach stałych wystaw gołębi. W myśl projektu, postanowiono we wszystkich większych miastach zbudować na powyższy użytek stosowne szopy. Zadaniem wystaw będzie nastręczanie amatorom sposobności sprzedania i nabycia różnego rodzaju gołębi w celu popierania istniejących gatunków. Do wzięcia udziału w tem przedsiębiorstwie mają być zaproszone zarządy miejskie. Pierwsze wystawy projektowane są w Petersburgu, Moskwie, Tule, Odesie, Kijowie i Warszawie.

Apetyt ptaków jest nadzwyczajny. Pewien przyrodnik takie czyni porównanie: Drozd pożera naraz największego ślimaka, jakiego tylko znaleźć można w naszych lasach. Jeżeliby człowiek jadł w takiej samej proporcyi, to musiałby zjeść na obiad całą ćwierć wołu. Nie mniejszy apetyt ma i ziemba. Obliczono, iż, aby tego ptaszka utrzymać w normalnej wadze, trzeba mu pożywienia zwierzęcego, równającego się gliście ziemnej 14 stóp długości na dzień. Gdyby człowiek jadł w takiej proporcyi, to musiałby skonsumować dziennie kiełbasę na 9 cali grubą a 27 stóp długą. Nic dziwnego — nie ma bowiem między ruchliwemi ptaszkami tak strasznego względnie leniwca, jakim jest człowiek, potrzebują więc one znacznie więcej pożywienia do wytworzenia ciepła, które ruch zużywa.

Wiek ptaków, dochodzący czasem bardzo znacznej wysokości, jest zawsze jeszcze przedmiotem sporu między przyrodnikami. Najdłużej podobno żyć może łabędź; twierdzą, że do 300 lat. Przyrodnik Knauer opowiada, że widział kilka sokołów, z których jeden miał 162 lat. Także sępy i orły żyją bardzo długo. W r. 1819. zdechł orzeł bielik, który był w r. 1715., a zatem przed 104 laty schwytany, i oczywiście w porze schwytania kilka lub kilkanaście lat już liczył. Białogłowy sęp, którego w r. 1706. schwytano i który następnie w klatce ogrodu Schönbruńskiego był chowany, zdechł dopiero w r. 1824., przeżył zatem w niewoli 118 lat. Także papugi żyją po 100 lat i więcej. O ptakach błotnych twierdzą zaś, że życie ich równa się życiu kilku generacyj ludzkich. Kruki bywają także stuletnie, sroki natomiast, trzymane w niewoli, nie żyją dłużej nad 20—25 lat. Kura dochodzi 15—20 lat, jeśli ją przedtem nie upieką — gołąb do lat dziesięciu, małe ptaki śpiewające zaś od lat 8 do 18 najwyżej.

Okrutną tygrysicę, która była postrachem od lat dziesięciu w okolicy Jonusar koło Kalkuty w Indyach i niezliczoną ilość ofiar w ludziach pochłonęła, a której pomimo wielokrotnych czynionych na nią zasadzek i obław, upolować nie zdołano, udało się wreszcie ubić. Dwóch młodych ludzi wybrało się za śladem potwora i szli w odległości 15 yardów od siebie. Wtem jeden z nich, leśniczy, usłyszał nagły krzyk swego towarzysza i ujrzał go obalonego na siemię przez tygrysicę. Strzelił i strzał jego trafił szczęśliwie bestyę w same krzyże, a drugi położył ją trupem w chwili, gdy właśnie zabierała się do skoku na myśliwego. Towarzysz jego tymczasem potoczył się z pagórka na dół, gdzie go omdlałego znalazł, o kilka kroków od nieżywej tygrysicy. Młody człowiek, straszliwie pokaleczony, z ciałem poszarpanem, odwieziony został do szpitala, gdzie jednakowoż nie wątpią o jego ocaleniu. Tygrysica, jak już mówiliśmy, była postrachem całej okolicy i napełniała grozą wszystkich. Opowiadają tysiące okropnych wypadków, jakie się w ciągu tych lat zdarzyły. Jednego razu porwała ona pewnego leśniczego z chaty, w której spał wraz z kilku innymi kolegami i poniosła go do jaskini, gdzie były jej młode i tam dała go im do zabawy. Koledzy nieszczęśliwego schronili się na drzewo, a nie mogąc mu dać pomocy, byli ztamtąd świadkami strasznego widowiska, jak młode tygrysięta niby kotki z myszą. wyprawiały igrzyska z ciałem nieżywego na pozór kolegi. O kilka stai stara tygrysica położyła się przyglądając się z zadowoleniem zabawie swej dziatwy. Nagle zerwał się nieszczęsny leśniczy na równe nogi, i spróbował odpędzić małe potwory, za słabe jeszcze, by go utrzymać i począł uciekać. Ale zaledwo ubiegł kilkadziesiąt kroków, tygrysica dała potężnego susa, porwała go i napowrót młodym przyniosła. Scena ta powtórzyła się kilka razy i nieszczęśliwy za każdym razem przez okrutną tygrysicę był schwytany. Krzyki jego i wołanie o ratunek były rozdzierające, a koledzy jego, siedzący na drzewie zdrętwieli z przerażenia i nie byli wstanie się ruszyć, jakby im sparaliżowało wszystkie członki. Wreszcie i stara przyłączyła się do zabawy małych i zaczęła ofiarą swą podrzucać w górę jak piłką lub taczać nią po ziemi. Biedak coraz słabszy stawiał opór, ostatni raz spróbował jeszcze. na rękach czołgając się, dostać pod drzewo, ale i tym razem jak poprzednio przeszkodziła mu tygrysica i jakby już znudzona tem, zatopiła pazury swoje w piersi nieszczęśliwego, co położyło wreszcie koniec jego mękom, a koledzy przypatrywać się musieli z dala, jak straszna bestya powoli w kawały go poszarpała.

Ptak pasterz. W Gujanie i pobliskich krajach Ameryki południowej posiadają mieszkańcy nieznanego nam ptaka domowego, który im oddaje usługi podobne do tych, jak u nas — pies owczarski. Ptak ten, wielkości kury, ale z szyją wydłużoną i na dość wysokich cienkich nogach, kształtem przypomina nieco dropia, pióra ma czarne, z wyjątkiem piersi o stalowo-niebieskiem ubarwieniu, przechodzącem w żółtozłotawy metaliczny połysk. Jest to tak zwany Gruchacz Agami *Psophia crepitans.* Oswaja się z wielką łatwością i przywiązuje do swego pana, strzegąc gorliwie jego własności jak pies; kur, kaczek, owiec itp. pilnuje na pastwisku i nie dozwala im się rozpierzchać lub oddalać za daleko. Z szaloną odwagą odpiera każdego napastnika, rzucając się z głośnym krzykiem na niego i kalecząc silnym dzióbem i ostremi szponami. Jak pies z kotem, tak on z obydwoma żyje w niezgodzie i nie znosi, aby pan jego które z tych zwierząt pogłaskał. Aklimatyzacyjne towarzystwa amerykańskie czynią oddawna próby, czyby pożyteczny ten ptak nie dał się przyswoić w innych krajach; skutek dotąd zawodził, obecnie donosi „Globe“ z St. Louis o pomyślniejszym rezultacie usiłowań.

Zatrucie ryb. Woda rzeki Meurthe, wpadającej do Moselli na przestrzeni 30 kilometrów, wskutek pęknięcia basenu w fabryce sody w Dombasle, którego cała zawartość spłynęła do rzeki, została zatruta. Początkowo myślano, że cały materyał pójdzie na dno, tymczasem rozlał się on szeroko i spłynął do Nancy i dalej aż do Fronard. Woda w rzece zabieliła się jak mleko, po brzegach utworzył się osad, w niektórych miejscach dochodzący do 5 centimetrów grubości. Ryby wszelkich gatunków potruły się skutkiem tego i wypływały martwe na powierzchnię. Zakład hodowli ryb w Malzeville został kompletnie zniszczony. Mieszkańcy nadbrzeżni wyławiali sieciami martwe ryby. Aby dać pojęcie o masie zatrutych ryb, podaje *Gaulois*, że młyn w Tomblaine, stanął raz nagle, gdyż koło zawaliła masa zatrutych ryb na długość 15 a wysokość 2 metrów.

Fundacya stypendyjna dla uczniów szkoły lasowej im. Henryka Strzeleckiego. Komitet wybrany na VI. Walnem zebraniu gal. Tow. leśnego uzyskał już zezwolenie c. k. Namiestnictwa do zbierania składek w całym kraju, poczem ogłosił I. wykaz składek: Na fundacyę rzeczoną złożyli: JW. prezes Tow. Roman hr. Potocki 100 zł.. Na bankiecie podczas Walnego zebrania w Kołomyi: WPp. Uznański Adam 25 zł., Gizewski Józef 20, Pauer Franciszek 10, Dobrzański Stefan 5, Dr. Fedorowicz Mikołaj 5, Gludowicz de Szyklosy Edmund 5, Gostyński Karol 5, Hirsch Piotr 5, Kisielewski Józef 5, Korosteński Władysław 5, Prof. Kryciński 5, Skowroński Karol 5, Sokoll Adolf 5, Żebrowski Aleksander 5, Korasiewicz Leon 3, Linderski Henryk 3, Beer Wilhelm 2, Charlewski Wiktor 2, Kosakiewicz Roman 2, Madejski Adam 2, Makarewicz Romuald 2, Melchert Bronisław 2, Strzelecki Karol 2, Wospiel Jan 2, Zarzecki Pobóg Jan 2, Bieniek Franciszek 1, Borczowski Alojzy 1, Burzyński Maksymilian 1, Goos Juliusz 1, Kowalski Józef 1, Zörner Ferdynand 1, Winnicki Franciszek zebraną w wagonie podczas powrotu z Kołomyi do Lwowa 2 zł. 40 ct., Słoński Franciszek zebrane na polowaniu „za chybione strzały“ 6 zł. 50 ct. — Razem 248 zł. 90 ct.

Dalsze składki przyjmuje skarbnik komitetu, sekretarz gal. Tow. leśnego, Wny Romuald Makarewicz, we Lwowie pl. Chorążczyzny l. 4.

Odezwa.

Lecznicza kolonia Rymanowska, mająca na celu ratunek chorej dziatwy, istnieje tylko ofiarnością serc szlachetnych. Darują zatem liczni nasi przyjaciele, iż licząc na ich poparcie, ośmieliliśmy się już przesłać odezwę komitetu leczniczej kolonii. Datki już nadesłane, z których wykaz niżej podajemy, dowodzą, iż niezawiedliśmy się w naszem oczekiwaniu. Upraszamy tylko najusilniej tych PT. odbiorców pomienionej odezwy, by Ci w razie, gdyby nie byli w zamiarze wesprzeć tak doniosłego dzieła, jak jest lecznicza kolonia w Rymanowie, raczyli pod adresem redaktora lub skarbnika tejże kolonii odesłać posłaną im listę i odezwę.

Łaskawe datki nadesłali:

Artur Zaremba Cieleski 5 zł., Włodzim. Garapich 5, JE. hr. Ludwik Wodzicki 20, Kazim. hr. Wodzicki 10, Dr. Józef Wernicki 5 zł.

Za co składamy najserdeczniejsze dzięki.

Władysław Zontak.

TREŚĆ: Władysław Spausta: „Dzik“. — A. Ubysz: „Łysy Janek“. — A. Ubysz: „Krytyczna pora“. — Korespondencye: „Z wystawy myśliwskiej i rybackiej“. „Polowanie na dzika“. „Towarzystwo łowieckie“. — Kronika.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie